

MARIA KONOPKA

*Moje
przeżycia
wojenne*



MARIA KONOPKA

*Moje
przeżycia
wojenne*



ISBN
978-83-933223-1-2

Copyright by Maria Konopka

Projekt okładki i strony tytułowej:
Natalia Tutak

Zdjęcia:
ze zbiorów rodzinnych

Redakcja:
Joanna Grabowska

Wydawca:
Wydawnictwo PLISZKA
Wiesława Pyrcz



Dolaszewo, ul. Jesionowa 9, 64-930 Szydłowo
tel. 508 738 015, e-mail: wieslawapycz@gmail.com
www.wieslawapycz.pl

Skład, druk i oprawa:
Drukarnia ELSO w Pile,
ul. Szybowników 11, 64-920 Piła
tel. 67 214 80 00, www.else.pl

Wydanie I, Piła 2015

Drogi Czytelniku!

Swoje wspomnienia z okresu drugiej wojny światowej zaczęłam przelewać na papier w wieku 80 lat. Pierwsze rozdziały napisałam odręcznie. W trakcie pisania nauczyłam się posługiwać komputerem i dalszą pracę kontynuowałam już z jego wykorzystaniem. Do pisania zachęciły mnie moje wnuczki Aleksandra i Daria, które pragnęły poznać historię swojej babci i jej krewnych. Wsparciem w przypomnieniu szczegółów z przeszłości było żyjące jeszcze rodzeństwo, szczególnie starsza siostra Czesława. Odtwarzanie dziecięcych przeżyć wywoływało u mnie duże emocje i powodowało wiele nieprzespanych nocy.

Mam nadzieję, że losy mojej rodziny, która przeżyła zawieruchę wojenną na terenie powiatu chodzieskiego, będą inspiracją do ocalenia od zapomnienia historii innych seniorów. Warto to zrobić, póki jeszcze o wojennych czasach można usłyszeć z ust swoich bliskich.

Początkowo odbiorcami moich wspomnień mieli być tylko członkowie najbliższej rodziny. Nie marzyłam nawet o tym, że zostaną one opublikowane.

W tym miejscu pragnę bardzo serdecznie podziękować Radzie, Wójtowi i Sekretarzowi Gminy Budzyń, za pomoc w edycji tej książki. Świadczy to o docenianiu roli historii swojej Małej Ojczyzny, na którą składają się między innymi losy poszczególnych rodzin.

Osobne podziękowania składałam wszystkim osobom, dzięki zaangażowaniu których książka powstała i została wydana.

Autorka

Mania Konopka

Nasza rodzina w 1939 roku

Józef Grzeczka	Tatuś – lat 55
Prakseda Grzeczka	Mamusia – lat 40
Stanisław	Stasiu – lat 11
Czesława	Czesia – lat 9
Mieczysław	Mieciu – lat 8
Maria (to ja)	Maryjka – lat 6
Kazimiera	Kazia – lat 3
Aleksander	Olek – lat 1,5

Pracownicy

Rodzeństwo:

Kazimierz (Kaźmierz), Stanisław (Stachu) i Jadwiga
Szczęśniak. Traktowaliśmy ich jak członków rodziny.



Józef Grzechka - żołnierz w wojsku pruskim (Tatuś)



Prakseda Felcyn - przyszła żona Józefa (Mamusia)

Wojna

– Wojna! Uciekać, uciekać, wojna, wojna!...

Drogą prowadzącą do naszego domu biegł zdenerwowany Kaźmierz – chłopak, który zajmował się u nas końmi. Stałam na podwórku i myślałam, co to jest wojna i dlaczego mamy uciekać? Za chwilę z Budzynia przyjechał na rowerze Tatuś i potwierdził, że musimy zostawić nasz dom i wyjechać. Dokąd? Taki był nakaz pod groźbą rozstrzelania. Czuliśmy, że coś złego wisi w powietrzu, widzieliśmy zatroskanych rodziców. Tatuś słuchał radia na słuchawki, rodzice szeptali, żebyśmy nie słyszeli, o czym mówią. No i stało się – Niemcy napadli na Polskę i wybuchła wojna. Zaczęło się pośpieszne pakowanie i przygotowania do drogi. Już mamy wsiadać na wóz, okazuje się, że nie ma Stasia, najstarszego z nas.

– Stasiu! Stasiu! – biegamy, szukamy. Oczywiście, że słyszał wołanie, ale akurat znalazł ładne jeźyny na skraju lasu, żal mu było zostawić. W końcu wsiedliśmy na wóz i pojechaliśmy. Zostawiliśmy nasz dom i wieś Brzekiniec. Na drodze robiło się coraz ciasniej, z bocznych dróg wyjeżdżały furmanki, tworzył się z nich coraz dłuższy sznur. Miałam nogę przyciśniętą czymś twardym, bolało, ale nie miałam odwagi poprosić o pomoc. W konwi ze śmietany zrobiło się masło. Promyk radości – spotkaliśmy nasze krowy z opiekunem. Nie wiedziałam, że był nakaz, żeby wcześniej rano wszystkie krowy z całej wioski zgonić w jedno miejsce i pędzić, nie wiem dokąd?

Rodzice postanowili, że nie jedziemy tam, gdzie wszyscy, odłączamy się. Pojedziemy do znajomych

w Rąbczynie. Jednak nie zastaliśmy znajomych, też uciekli.

Nie pamiętam pierwszych noclegów. Dobrze, że było ciepło, w dzień piękna pogoda. Krowy po drodze się najadły, a my mieliśmy mleko. Podczas dalszej drogi widzieliśmy opuszczone domy, po jednej łące biegały śliczne żrebaki, chyba siedmioro ich było. Prosiliśmy, żeby zabrać chociaż jednego. W jakimś domu moczyła się w baliach bielizna.

– Tylko niczego nie ruszajcie – upominał Tatuś – to by była kradzież.

Te opuszczone domy bez żywej duszy robiły bardzo przykre wrażenie. Tylko gdzieniegdzie snuł się jakiś starszy człowiek.

W Łaziskach

Była to posiadłość Jana Grzechki, kuzyna Tatusia. Rodzina wujka składała się z pięciu osób: trzech córek – Lutki, Sewerki, imienia trzeciej nie pamiętam (była w wieku Czesi) i syna Telesfora. Przyjęli nas bardzo gościnnie. Odpoczęliśmy po trudach podróży. Niestety, nie było spokoju. Co chwila docierały złe wiadomości. Dobiegały odgłosy wystrzałów, tu i tam ktoś został zastrzelony. To miejscowi Niemcy działali. Płonęły stogi, stodoły. Mężczyźni wychodzili na wartę i nie wiadomo było, czy powrócą. Jednym słowem – niebezpiecznie. Była noc, wtem rozkaz, że wszyscy muszą opuścić wioskę. Wyrwani ze snu, starsi ładują na wóz tobołki, maluchy płaczą i... znowu w drogę. Płakać nie wolno, musi być cicho. Pierwszy raz naprawdę się bałam. Sceneria byłaby piękna, gdyby nie była taka straszna.

Noc, a prawie jasno od łun i pożarów, z różnych stron słyhać pojedyncze wystrzały. Zewsząd dochodziło wycie psów. A my, stuleni na wozie, przemykaliśmy bocznymi drogami. Za wozem Stachu, brat Kaźmierza – nasz pracownik, pędził krowy. Szczęśliwie dotarliśmy do Gorzyc koło Żnina, to jest do rodzinnego domu Mamusi. Ale nie zastaliśmy nikogo. Też wyjechali, trzech braci poszło bronić ojczyzny, we wsi zostali tylko staruszkowie. Świnie kwiczały z głodu, trzeba było je nakarmić. Nakopaliśmy ziemniaków, uparowaliśmy i obdzieliliśmy zwierzaki. I znowu w drogę.

Do domu

Przedostatniego odcinka drogi nie pamiętam, luka w pamięci. Od tamtych wydarzeń minęło ponad 70 lat. Obudziłam się wcześnie rano na wozie, gdzie spałyśmy z Mamusią przykryte dywanem. „Tylko się nie ruszaj – usłyszałam – bo dywan przemaka”. Przyjechaliśmy w ulewnym deszczu do Kamienicy, stąd były już tylko cztery kilometry do domu. Dalej nie pozwolono jechać. Nasz wóz stał wśród wielu innych wozów. Tatuś przeniósł śpiących do spichlerza tamtejszego majątku, starsi sami przeszli. Był podział, ktoś musiał pilnować wozu, a ktoś inny dzieci. Takich powracających uciekinierów było mnóstwo. Znowu jedziemy, bochenki chleba zabrane z domu dawno się skończyły, byliśmy głodni. Ale nadzieja, bo dom już bardzo blisko. Musieliśmy, zbaczając z drogi, zgłosić nasz powrót Niemcowi, dalszemu sąsiadowi (nazywał się Wolski). Wyszedł z domu, pokrzyczał i machając rękami powiedział, że przyjedzie później i odda klucze.

Już skręciliśmy na drogę dojazdową, już jesteśmy na naszym podwórku i tu spotyka nas wielkie rozczarowanie – dom był zamknięty, nie mogliśmy wejść do środka. Kiedy wyjeżdżaliśmy, zostawiliśmy dom otwarty. Okazało się, że pies Lamor miał przestrzelony pysk. To był nasz przyjaciel, pomachał ogonem, cieszył się, ale widać było, że bardzo cierpi. Nie mogliśmy nawet napić się czegoś ciepłego ani nic ugotować. Mamusia gdzieś się ukryła, ale znaleźliśmy ją pod stogiem. Nie było takiego miejsca, gdzie byśmy jej nie znaleźli. Powiedziała nam, że śpi, ale wątpię, żeby ktoś mógł spać po takich wrażeniach. Pożaliliśmy się, że jesteśmy głodni. „To jedzcie śliwki” – powiedziała. Ale jak można się najeść śliwkami? Wreszcie, po kilkugodzinnym oczekiwaniu, przyjechał na motorze Wolski i oddał klucze. I znowu rozczarowanie – dom został okradziony. Znajdowała się w nim dyskretna piwnica, wejście było z pokoju, trudno było ją zauważyć, a jednak znaleźli. Tu mieliśmy pochowane serwisy, porcelanę i inne cenne rzeczy. Między innymi ukradziono mandolinę. Mamusia dostała ją w prezencie, wkrótce po ślubie. Tatuś spełnił marzenie żony i zrobił jej niespodziankę, przywożąc instrument rowerem z Wągrowca. Mamusia lubiła śpiewać, śpiewała dużo i nareszcie miała wysnioną mandolinę. Już pierwszego dnia wygrała jakąś melodię. Była samoukiem, nie uczyła się śpiewać ani grać. Przy dźwiękach mandoliny usypiała swoje dzieci. W wolnej chwili siadała na podwórku pod lipą i wygrywała pieśni religijne, piosenki patriotyczne i cygańskie. Już nigdy potem nie miała instrumentu, ale śpiewała całe życie (rano miała w zwyczaju śpiewać godzinki).

Najbardziej zabolalo mnie, że ukradziono mój wazonik. Dwa tygodnie przed wybuchem wojny był odpust w Gorzycach. Był taki zwyczaj, że cała rodzina zjeżdżała się na uroczystości odpustowe. Jechali rodzice



*Moi dziadkowie ze strony ojca: Stanisław i Katarzyna Grzeczka ze swoimi dziećmi.
Od lewej: Stanisław, Piotr, Helena, Teodora, Prakseda (siostra Damiana).*

i ja też miałam jechać. Jednak Czesia mnie przekonała, że to ona pojedzie i coś ładnego mi przywiezie. Zgodziłam się niechętnie, jednak nie potrafiłam jej odmówić. Czesia dotrzymała słowa, przywiozła mi wazonik. Był śliczny, bardzo się z niego cieszyłam. Nie pamiętam, czy chociaż raz stały w nim kwiaty, a teraz go nie było. Ten wazonik był dla mnie wart więcej niż wszystkie inne rzeczy, schowane w piwnicy.

Nasze wędrowanie zajęło może 10-14 dni, nie pamiętam dokładnie. Zaczęły się rządy niemieckie, z prawej i z lewej strony mieszkali Niemcy. W całej wiosce było tylko trzech Polaków – rolników i może ze trzy rodziny robotnicze. Przed wojną to nie przeszkadzało, niektóre maszyny rolnicze były wspólne, wszyscy sąsiedzi żyli w zgodzie. Nasz dziadek – Stanisław kupił gospodarstwo od Niemca.

Jesień

Pozornie wszystko wróciło do normy, ale nie było tak samo jak przed wojną. Starsze rodzeństwo nie poszło do szkoły, nie było nauki dla polskich dzieci. Coraz docierały bardzo smutne wiadomości. Władze niemieckieabrały się do wywożenia ludzi, najpierw inteligencji, większych rolników, osób, które naraziły się im w jakiś sposób. W nocy albo wcześniej rano wpadali i masowo zabierali ludzi. Na początek z Budzynia zabrano księdza proboszcza – Stanisława Łakotę, kierownika szkoły – pana Kaję, wójta – pana Kośmickiego i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Zgodnie z relacją świadka, który obserwował z ukrycia akcję wywózki, ludzie byli pętani drutem po dwie osoby. Pierwszą grupę wywieziono i zamordowano

w lesie w Morzewie koło Chodzieży. Po wojnie, kiedy już było można, w rocznicę tego mordu rodziny przyjeżdżały na miejsce kaźni, gdzie odprawiano mszę św. Były też inne wywózki – do obozu. Dochodziły do nas wiadomości, że szykują transport. Ludzie w Budzynie i okolicy byli przerażeni. Nikt nie czuł się bezpiecznie. My też niejedną noc przespaliliśmy w ubraniach. W domu robiono jakieś zapasy. Rodzice starali się pomóc tym biednym ludziom, którym zabrano ojca rodziny. Tatuś woził do olejarni w Wągrowcu rydz (roślina oleista) i przywoził w konwi olej. Wieczorami rozdzielano – większej rodzinie większą butelkę oleju, mniejszej rodzinie mniejszą. Podobnie dzielono mąkę, masło i inne produkty. Tatuś kładł to wszystko na wóz, pod osłoną wieczoru jechał do Budzyna (4 km) i rozdelał potrzebującym.

My nadal byliśmy dobrze odżywiani, rano do łóżka dostawaliśmy mleko z miodem, w zimie wieczorem jeszcze tran. Ustawialiśmy się wszyscy w rzędek, od najmłodszego do najstarszego. Maluchy dostawały lepszy tran – biały. Ja dostawałam zwykły. Buzie nam się wykrzywiały, taki niedobry był!

Wymyślaliśmy sobie różne zabawy. W naszym domu nie było żadnych zabawek. Do piachu, do robienia babek służyły nam stare kubki, ułamane nabierki i cokolwiek, co się do tego nadawało. Piłka szmacianka też się przydała. W sobotę po kąpieli, kto chciał, dostawał do spania lalkę. Jak ta lalka wyglądała? – kłębek wełny włożony w kolorową chustkę, kłębek, czyli głowa owiązana była jednym rogiem, a zwisające pozostałe rogi to była sukienka.

Czasem szłam do poważnej pracy, odgarniałam zboże od wialni, a w czasie zwózki zboża na polu trzymałam lejce, aby osoba podająca snopki na wóz nie musiała się co chwilę schylać, żeby podnieść lejce i jechać dalej.



Mamusia i Tataś z dziećmi, od lewej: zachmurzona autorka (na kolanach), Stasiu, Miciu, w foteliku Czesia.



Od lewej: sąsiadka (matka chrzestna Olka), jej córka Mirka, Kazia, Czesia z Olkiem na kolanach, Maryjka, Mamusia, z tyłu Mieczu.

1939-1940

Płynął czas, powoli zbliżała się zima. Prace w gospodarstwie szły swoim rytmem i dla dzieci nie były żadnym problemem. Od krewnych otrzymywaliśmy listy z zupełnie zmienionymi adresami, zostali wywiezieni (dwie rodziny) do województwa lubelskiego. Zabrano do obozu wujka Edmunda, gospodarza z Gorzyc. Na początku nie wiadomo było, co się z nim stało, pierwszy list mógł napisać po trzech miesiącach. W domu panowała atmosfera niepewności. Mrozy tej zimy były duże i śniegi obfite.

Nasze podwórko było w kwadracie, dom, naprzeciw stodoła, z prawej strony stajnia i chlewnia, z lewej obora, w przedłużeniu szopa. W śniegu wykopane zostały piękne ścieżki, po których z przyjemnością biegaliśmy, była to wspaniała zabawa, zwłaszcza wieczorem. Zaspy śniegu po bokach były często wyższe od nas.

Po kolacji wszyscy starsi ode mnie czytali książki, a Mamusia szyła albo dziergała na drutach. Młodsze dzieci już spały. Ja nie umiałam czytać i się nudziłam. Prosiłam Czesię, żeby mi opowiedziała, co przeczytała.

– Tak, tak, opowiem ci, tylko przeczytam. To ty idź, zagrzej łóżko – spałyśmy w jednym łóżku – a ja zaraz przyjdę i ci opowiem.

Czekałam, starałam się nie zasnąć, ale nigdy się nie doczekałam.

– Nie ma rady, muszę nauczyć się czytać, zdecydowałam.

Dostałam czarną tablicę oprawioną w drewnianą ramkę, z jednej strony kratka, z drugiej linijki, rysik i szmatki, jedna do wycierania na mokro, druga na sucho.

To była moja cała wyprawka do nauki pisania. Brnęłam przez literki i cyfry, ktoś z rodzeństwa napisał pierwsze. Pisałam i wycierałam, pisałam i wycierałam, szkoda mi było mazać zapisaną tablicę. Powoli zaczęłam łączyć wyrazy. Pewnego razu, ku mojej rozpaczy, tablica się zbiła, ale dostałam nową. Pierwsza książeczka, którą samodzielnie przeczytałam, miała tytuł „O Janku Wędrowniczku”, do tej pory pamiętam fragment: „I w daleki pójdę świat, bom nie baba, ale chwat”.

Czwarte dziecko

Czwarte dziecko to ja, Maryjka, mam 6 lat. Czy łatwo jest być czwartym dzieckiem? Powiedziałabym, że nie. W moim przypadku z najstarszym bratem dzieli mnie pięć lat, z najmłodszym – Olkiem, też pięć, a ja w środku. Pewnie, że bawiliśmy się razem i było nam dobrze. Jednak, gdy chcieli uciec to uciekli – byli szybsi, a jak się skryli, to ich szukałam – pewnie właśnie o to chodziło. Czesia z chłopcami radziła sobie doskonale, a ja z całą trójką, niestety nie. Któregoś dnia byli w kuchni, którą od pokoju rodziców dzielił pokój i sien. Ja akurat byłam w tym pokoju sama. Na stole paliła się mała naftowa lampka. Drzwi z kuchni otworzyły się, cała trójka przebiegła jak wiatr, drzwi się za nimi na chwilę zamknęły i otworzyły. Czesia wróciła, zgasiła lampkę i pozamykała drzwi, od sieni też. Zostałam sama w ciemności. Co robić? Czekałam chwilę, wołałam, ale nikt nie słyszał. Zaczęłam iść, stopa za stopą, nadziałam się na coś twardego, chyba na klamkę i nabiłam sobie guza. Do pokoju weszłam z płaczem, powiedziałam, co się stało. Tatuś na to: „a to gałgany”. Wziął mnie na kolana

i przykładął nóż do guza. Zapytałam, co powinnam była zrobić, byłam przekonana, że nie ma na to dobrej rady, a jednak Tatusz poradził: „zapamiętaj, jak będziesz szła w ciemności, wystaw przed siebie ręce”. Zapamiętałam.

Obiady

Mamusia gotowała dobre obiady, jednak wtedy nie umieliśmy tego docenić. Obsłużenie sześciorga dzieci wymagało dużo cierpliwości. Najmłodszego Olka trzeba było nakarmić. Trochę było zamieszania, kiedy na obiad podawano drób. Najlepsze trzy kawałki zostawały w kuchni dla pracujących. Dla Tatusia też był lepszy kawałek. My przekrzykiwaliśmy się: ja chcę to, a ja tego nie chcę. Ja zwykle chciałam kawałek szyjki. Nie dlatego, że akurat lubiłam, lecz wiedziałam, że tego już mi nikt nie zabierze. Lubiałam mięso i Tatusz z tego powodu nazwał mnie „Jastrzębiem”. Przywoływał mnie i kęski mięsa z jego własnego talerza łądowały w mojej otwartej buzi.

Kiedyś podpadłam przy obiedzie. Mamusia zabrała mi talerz, mówiąc: „jak zgłodniejesz, to poprosisz”. Byłam godna i to bardzo, jednak nie poprosiłam, honor mi na to nie pozwalał. Z utęsknieniem wyglądałam podwieczorku. To była dobra lekcja, wiele mnie nauczyła. Prawdziwą frajdą dla nas była kolacja na podwórku, o wiele bardziej nam smakowała.

Dom na kółkach

Główna droga biegła wklęsłym łukiem do naszej drogi dojazdowej. Z prawej i lewej strony był las. Od czasu do czasu pojawiał się na tej drodze samochód. A, że była to droga piaszczysta, to trochę trwało, zanim samochód przejechał widoczną dla nas drogą. Na hasło: „samochód jedzie”, biegliśmy wszyscy w stronę drogi, żeby to dziwo zobaczyć z bliska. Ja, jak zwykle, zostawałam daleko w tyle. Zastanawiałam się, co z tym zrobić? A może postawić dom na kółka? Podjadę bliżej drogi, ale tam jest mostek, wóz przejedzie, dom się nie zmieści. To chociaż do mostku, droga już będzie blisko. Kierowanie będzie w pokoju rodziców, tam pod zegarem jest wolna ściana, potem pomyślę, jak to rozwiązać, kiedy już dom będzie stał na kółkach. Znalazłam trzy kółka, każde inne. Wzięłam jedno i chciałam podnieść narożnik domu. Próbowałam raz, drugi i nic, ani drgnęło. Miało być zaskoczenie dla wszystkich, a ogarnął mnie smutek i rozczarowanie. Dobrze, że z nikim się swoimi „cudownymi” pomysłami nie podzieliłam.

Stryj Piotr

Stryj Piotr Grzeczka (starszy o cztery lata brat Tatusia), jego żona Regina i dwoje kuzynów – Irka i Tadiusz, mieszkali w Budzynie. Bracia bardzo się szanowali i prowadzili długie, poważne rozmowy. Stryj często nas odwiedzał, jadąc przez las drogą na skróty.

Tę drogę zasłaniały budynki i stryj był niewidoczny do ostatniej chwili. Nagle w bramie ukazywał się mały koń – bułanek, niewielki wóz, a na wozie stryj z rodziną albo z kuzynami. Lubiliśmy naszych kuzynów, oni nas chyba też. Byli od nas trochę starsi, ale razem bawiliśmy się doskonale. Irka i Tadziu przychodzili czasem do nas pieszo albo przyjeżdżali na rowerach.

Stryj był bardzo poważnym, mądrym i ogólnie szanowanym człowiekiem. Z zawodu było ogrodnikiem, hodował sadzonki, warzywa i kwiaty na sprzedaż. Przed wojną zakładał u nas w ogrodzie trawniki, były na nich naprzemiennie okrągłe i prostokątne klomby, na których rosły kolorowe bratki. Rosły tam też dwa krzewy piwonii, czerwony – pachnący i biały – bez zapachu. Właśnie te piwonie stryj przywiózł z Berlina, kiedy pracował tam przed pierwszą wojną światową. Z tych krzaczków, po wielu, wielu latach, jego wnuk Kaziu (obecnie Magnificencja O. Prof. Eustachy Rakoczy, Jasnogórski Kapelan Żołnierzy Niepodległości, Paulin w Częstochowie) po uroczystościach prymicyjnych w kościele otrzymał od nas bukiet piwonii.

Stryj Piotr napisał książkę „Moje wspomnienia z walk o niepodległość Polski”¹. Za nią otrzymał nagrodę od arcybiskupa, był to obraz – portret arcybiskupa z własnoręcznym podpisem (szkoda, że nie pamiętam nazwiska). Podczas drugiej wojny stryj bywał kilka razy zakładnikiem, to znaczy, że całą dobę siedział w areszcie, a gdyby coś złego spotkało jakiegoś Niemca ze strony Polaka, to stryj zostałby rozstrzelany. Nietrudno sobie wyobrazić, co wtedy czuła jego rodzina.

Z rodziną Stryja łączyły nas nie tylko więzy krwi, ale też fakt, że mieszkaliśmy blisko siebie.

¹ Książka jest dostępna w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej pod adresem www.wbc.poznan.pl

Będąc w Budzynie, zostawialiśmy u nich powózkę czy rower. Ciocia Regina była gościnną i często z tego korzystaliśmy. Irka żałowała, że nie jesteśmy siostrami. Była bardzo opiekuńcza, prosiła Mamusię, żeby pozwoliła mi na trochę u nich zostać. Bywało różnie, Czesia była zazdrosną siostrą i obie z Kazią musiałyśmy wracać do domu.

Dom

Dom to miejsce na ziemi, do którego chętnie się wraca, nawet po krótkiej nieobecności. W naszym były cztery pokoje i kuchnia. Pokój i kuchnia – przeważnie tutaj koncentrowało się nasze życie. W pokoju stał długi stół i ławka z jednej strony, a z drugiej strony krzeselka. Każdy miał swoje miejsce. Tu spożywaliśmy posiłki. Wiezorami wszyscy gromadziliśmy się i każdy mógł robić to, na co miał ochotę. Mamusia przeważnie pracowała, cerowała nasze skarpety, dziergała na drutach, przyszywała łąty tam, gdzie zrobiła się dziura albo szyła całkiem nowe rzeczy. W kącie stała maszyna do szycia (Singer). Była to bardzo dobra maszyna, nawet skórę dało się szyc. Tatuś czytał gazetę albo opowiadał nam o swoich przeżyciach z czasów wojny. Przed pierwszą wojną Tatuś był w wojsku pruskim i z chwilą rozpoczęcia wojny został wysłany na front, gdzie walczył w nie swojej sprawie. Obok był pokój gościnny, który lśnił i błyszczał. Były w nim swarzędzkie meble z drewna mahoniowego, okleina z kaukaskiego orzecha w kolorze bordowo-brązowym. Stał też bufet trzydrzwiowy ze szklaną nadstawką, mniejszy dwudrzwiowy kredens, leżanka,

owalny, rozkładany, duży stół, wokół niego dwanaście krzeseł. Nad stołem wisiała lampa naftowa, bardzo ozdobna. Podłoga była malowana, na niej pod kolor dywan z frędzlami. Frędzelki przy dywanie musiały być równiutko ułożone, jak były w nieładzie, to Czesia wciąż na nowo je układała i układała. Kiedy miała już własny dywan, to najpierw obcięła frędzelki. W pokoju było też radio na słuchawki, ale Niemcy szybko je zabrali.

Jednak najważniejsze miejsce zajmował ołtarzyk. Na wprost drzwi, między oknami, wisiał ukochany obraz Mamusi „Najświętsze Serce Jezusa”, wyżej obraz składający się z sentencji: „Bóg widzi, czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka” oraz z rysunków przedstawiających: oko opatrności, kościotrupa z kosą i inne elementy, których nie pamiętam. Zwieńczeniem były dwa skrzydlate anioły. Na ołtarzyku stał krzyż, lichtarze i oczywiście kwiaty.

Tu kończyliśmy dzień, odmawialiśmy różaniec i wieczorne modlitwy. Mamusia nie potrzebowała książeczki. Umiała na pamięć „Litanię Loretańską”, „Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa”, „Litanię do Świętego Józefa” i wiele innych modlitw (pomijam tajemnice różańca).

Wracając do aniołów – wykonała je z gliny moja Chrzestna Matka, ciocia Marysia, kuzynka Mamusi. To była artystka – amatorka, bez żadnej szkoły. Wyrzeźbiła też figurę Matki Bożej i grotę, w której umieszczono figurę przy kościele w Żninie. Zniszczyli ją Niemcy zaraz na początku wojny. A obraz z napisami był pamiątką po cioci Teodorze, siostrze Tatusia. Zmarła, mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Intrygował mnie ten obraz, często mu się przyglądałam.

Trzeci pokój to sypialnia rodziców. Tu stała duża, z lustrem na całych środkowych drzwiach, szafa

na ubrania i bieliznę. „Dwa w jednym” łóżka do spania, obok nocne szafki, umywalka z marmurową płytą i lustrem, stół przykryty żółto-zielonym pluszowym obrusem. Karnisze żółto-złote i ozdobne żabki, do tego podwieszone firanki i zasłonki. Nad łózkami kopia obrazu „Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny” wielkości 116 x 80 cm, z ramą. Do tego dwa łóżeczka – większe i mniejsze – dla najmłodszych. Na ścianie wisiał duży zegar, wybijał całe godziny, a na pół godziny dzwonił tylko raz.

Obok był nasz, czwarty pokój. Tu stały dwa łóżka, w jednym spałam z Czesią, a w drugim Staś i Mieciu. Mieliśmy własny kąpiel, gdzie mogliśmy również spędzać czas.

Dom miał dwa wyjścia na podwórko i trzecie z werandą obrośniętą chmielem – do ogrodu. Wspaniałe miejsce w lecie, w czasie upałów. Bardzo lubiłam przebywać tutaj w czasie burzy, a zwłaszcza wieczorem. W ogrodzie, oprócz wspomnianych już trawników, rosły dalie, lilie i wiele innych kwiatów. Wspaniałe rosły warzywa, były też dwa kopce szparagów (smaczne warzywo), których gałązki jesienią były piękną dekoracją bukietów.

Mamusia najbardziej kochała polne kwiaty. Zbieraliśmy je dla niej. Wiosną rowy pełne były kaczeńców i niezapominajek, w lecie na łąkach pachniały rozmaite, prześliczne kwiatki. Skakały pasikoniki, fruwały biedronki, motyle i inne owady, nie sposób ich nazwać i zliczyć.

Przed wejściem do kuchni, na zewnątrz, zawieszony był lemiesz. Jak chciało się zwołać wszystkich w południe czy wieczorem, to haczykiem-pogrzebaczem uderzało się kilka razy w lemiesz i czysty dźwięk niósł się daleko, wokoło wszyscy słyszeli i wiedzieli, że pora wracać do domu.



*Maria Brzykcy - ciocia Marysia z narzeczonym
(zginął w czasie I wojny światowej).*



Figura Matki Bożej - jedno z dzieł cioci Marysi.

Tylko Tatuś miał kieszonkowy zegarek, słyszał też dźwięk lemiesza, ale czasem się spóźniał. Miał taki zwyczaj, że obchodził pole i oglądał, jak rośnie. Chociaż miał pracownika do koni, to jednak zawsze sam orał ziemię i sam prowadził siewnik, bo wszystko musiało być bardzo dokładnie zrobione. Kiedyś ja też pomagałam przy sianiu zboża, pilnowałam, żeby rurki się nie zapchały. Gdy już pole było obsiane, Tatuś zdejmował czapkę i wypowiadał słowa: „ja zasiałem, a Ty, Panie Boże daj wzrost”. Kiedy to wspominam, uświadamiam sobie, że zawsze oglądał pola z odkrytą głową, z szacunku dla darów nieba i do domu wracał z czapką w dłoni. Kochał nie tylko ziemię, ale i zwierzęta. Konie były wygłaskane, kury, kiedy sypał im ziarno, wskakiwały mu na ramiona. Nawet gąsior (gęsi pan) zostawiał stado i wyciągał szyję do głaskania, a nawet próbował wdrapać się na kolana (nie wziął pod uwagę, że ma ostre pazury) i po gęsiemu opowiadał, opowiadał, trzeba było słyszeć tę gęgo-mowę.

Nożyczki

Pewnego razu zapodziały się gdzieś nożyczki, a wiadomo, że w domu są co chwilę potrzebne. Ktoś powiedział, że widział, jak bawiłam się nimi na podwórku. Tłumaczyłam, że nie wynosiłam nożyczek, ale kto by tam wierzył dziecku. Była późna jesień, zimno, Mamusia opatulila mnie swoją chustą (czarną, pluszową, z frędzlami) i kazała iść i szukać tych nieszczęsnych nożyczek. Chodziłam po wszystkich zakątkach i szukałam, ale niestety, nie można znaleźć, czego się nie zgubiło. Tak usilnie sobie przypominałam,

aż prawie uwierzyłam, że miałam te nożyczki. Przez kilka dni powtarzała się ta historia, czarna chustka na głowę i „idź, szukaj”. W końcu jednak przypadkowo znalazłam zgubę. Nożyczki spadły z okna i tkwiły wbite za listwą podłogową, a firanka zazdrośnie je zasłoniła. Bardzo się ucieszyłam. Od tej pory wiem, jak boli niewinne posądzenie. Dostałam jednak rekompensatę w postaci dodatkowej drożdżówki. Tatuś zawsze przywoził z miasta drożdżówki i powtarzał, że to za paczkę papierosów – a był niepalący.

Lato 1940

Wujek Florek

W lecie nagle zjawił się wujek Florek, najmłodszy brat Mamusi, który musiał się ukrywać. Starszy brat Edmund – gospodarz, już był w obozie. W Gorzycach nie było ani jednego Niemca, więc nie mógł się nikomu narazić. Powodem było duże gospodarstwo. Z konieczności wujek Florek zarządzał gospodarstwem. Pewnego dnia przyszli Niemcy, bez powodu pobili go do krwi i powiedzieli: „teraz ty będziesz parobkiem, a gospodarzem będzie on”. Tu wskazali człowieka, który na stałe był zatrudniony w gospodarstwie. Wujek, aby nie podzielić losu swojego brata, nie widział dla siebie innego wyjścia jak ucieczka z domu. Przyszedł do nas, do Brzekińca. Tutaj też nie był bezpieczny, dlatego wszyscy byliśmy czujni. Jeżeli ktoś pojawił się na drodze dojazdowej, to wujek się chował. Tymczasem nam było weselej, bo wujek się nami zajmował. Wykonywał, ale tylko w nocy, różne prace, na przykład wiązanie snopków w czasie żniw.

Po kilkumiesięcznej przerwie do parafii przyjechał ksiądz, rozpoczęła się nauka katechizmu. Czesia i Mieciu przygotowywali się do Pierwszej Komunii Świętej. Wujek im trochę pomagał, sprawdzał wiadomości, odpytywał.

Mnie przypadła inna rola. Przeważnie w południe, po zjedzeniu obiadu, były występy artystyczne. Czesia stroiła mnie we wszystkie apaszki Mamusi, wujek śpiewał albo gwizdał, a ja tańczyłam kozaka. Oczywiście najpierw nauczył mnie tego tańca. Po występie były brawa, a ja czułam się dumna i szczęśliwa. Ponieważ wujek mówił po francusku, pytałam go o różne słowa, do dzisiejszego dnia zapamiętałam, jak się mówi „sufit”, „podłoga” i „pani”.

Choroba

Jesienna pogoda, wykopki. Ludzie z koszami uwijali się przy zbieraniu ziemniaków. Tatuś konną maszyną kopał ziemniaki, a na końcach zagonów klękał na ziemi i oczyszczał redlicę z chwastów. Wieczorem pożałił się, że boli go noga. „A to jutro niedziela, poleżysz sobie, w poniedziałek będzie dobrze” – powiedziała Mamusia. Nie było dobrze, noga bardzo spuchła, bolała i Tatuś długo nie opuścił łóżka.

Przydzielono nam opiekuna do zarządzania wszystkim, co związane było z gospodarstwem. Odtąd rodzice nie mogli o niczym decydować, on wyznaczał pracę każdego dnia, odbierał pieniądze za sprzedane produkty, płacił należności itp. Był synem sąsiadów, nie był taki zły. Często przychodził w mundurze SS. Nazywał się Helmut Otto. Drugim zarządcą, wyższym rangą, był już wcześniej wspomniany Wolski, chodził

w żółtym mundurze. Często przyjeżdżali – Otto na rowerze, a Wolski motocyklem – o każdej porze: rano, w ciągu dnia i czasem wieczorem. Obaj przychodzili do leżącego Tatusia i rozmawiali po niemiecku. Mamusia, choć rozumiała niemiecki, to zawsze zwracała się do nich po polsku. Musiało się skończyć pomaganie ludziom, sami nie mieliśmy pieniędzy, dostawaliśmy po kilka marek na prowadzenie domu. Byliśmy cały czas obserwowani. Mleko musiało być odstawiane do mleczarni. Kiedyś Otto zdenerwował się, że za dużo mleka zostaje w domu, dla rodziny. A przecież jeszcze trzech obcych ludzi było do pracy i do jedzenia.

Tatус nie mógł wstawać z łóżka, nie mógł stanąć na tej chorej nodze. Nie pamiętam, czy byli jacyś lekarze, chyba tak. Zamiast oczekiwanej poprawy, stan zdrowia pogarszał się i konieczny był wyjazd do szpitala. I tu zbiegły się w czasie dwie bardzo ważne sprawy, przygotowania do szpitala i Pierwsza Komunia Święta Czesi i Miccia. Przygotowania do Pierwszej Komunii były bardzo krótkie i pośpieszne, ponieważ ksiądz spodziewał się najgorszego, czyli wywózki. Był początek grudnia, śnieg, mróz i bardzo zimno.

Pamiętam sylwetkę księdza. Był młody, szczupły i bardzo miły. Nazywał się Leśniewicz. Krótko po uroczystościach komunijnych został wywieziony do obozu, gdzie zginął. W przeddzień wyjazdu do szpitala ksiądz przyjechał do Tatusia z Sakramentami Świętymi. Był to równocześnie dzień pierwszej spowiedzi mojego rodzeństwa. Następnego dnia nastąpił wyjazd do szpitala. Oczywiście dla Polaków nie było karetki i chorego trzeba było zawieźć samemu do oddalonego o 15 kilometrów Wągrowca. Wóz był wyścielony słomą i na leżąco, na kocu Tatusia przeniesiono na wóz, opatulono pierzyną i kocami i... pojechali. Stałam przy oknie i płakałam. A potem było długie czekanie na powrót Mamusi

i Kazimierza. Wrócili późnym wieczorem. Mamusia zboląła i zapłakana. W szpitalu zainteresowali się, dlaczego ma zabandażowany palec, a to był zastrzał, więc zrobili zabieg. Mamusia, mając tyle zmartwień na głowie, nie miała czasu ani siły, żeby myśleć o sobie.

W niedzielę rano miały się odbyć uroczystości pierwszokomunijne w kościele w Budzynie. W niedzielę 8 grudnia 1940 r. obudziłam się rano i już nikogo nie było w domu. No, nie tak zupełnie nikogo, bo młodsze rodzeństwo zostało i ciocia Helena z Poznania – siostra Tatusia i Jadwiga (pomoc do pracy w gospodarstwie). Czekałiśmy i wyglądaliśmy prawie do wieczora, nareszcie przyjechali. Czesia i Mieciu ubierali się w Budzynie w odświętne stroje pierwszokomunijne. Po uroczystości w kościele, zjedli obiad przygotowany przez ciocię Reginę, przebrali się w swoje cieplejsze ubrania i wrócili do domu. Nie widziałam siostry w białej sukience ani brata w uroczystym stroju. Nie pamiętam też żadnego zdjęcia z tamtego dnia.

Od tej pory zaczęły się częste wyjazdy do szpitala. Stan zdrowia Tatusia się pogorszył. Urwał się skrzep i wszystko mogło się wydarzyć. Nie mógł się poruszać i musiał leżeć na wznak. Niemieccy lekarze robili, co mogli, polskie siostry zakonne też bardzo się starały. Powroty z Wągrowca były smutne, a wieści złe.

Mamusia powiedziała, że teraz tylko Pan Bóg może nam pomóc i zamówiła trzy msze święte. Po odprawieniu pierwszej – niebezpieczeństwo minęło, ale sytuacja nadal była poważna. Po dłuższym pobycie w szpitalu Tatuś postawił nogi na podłodze. Mamusia w tej chwili czuła się, jakby należał do niej cały świat. Cieszyliśmy się wszyscy, to była pierwsza dobra wiadomość od dłuższego czasu. Nadal odbywały się wyjazdy do Wągrowca i długie czekanie na powrót. Ja nigdy nie byłam u Tatusia w szpitalu, natomiast Czesia

i Mieciu jeździli z Mamusią, pewnie dlatego, że byli starsi.

Brakowało pieniędzy. Postanowiono sprzedać 150 kg żyta bez wiedzy naszego pilnowacza i tak się stało. Na skupie przyjęli zboże, ale nie wypłacili pieniędzy. Baliśmy się co będzie, jak się Otto dowie. Na szczęście nie zrobił z tego problemu.

Pobył Tatusia w szpitalu trwał około trzech miesięcy. Lekarze nadal nie chcieli go zwolnić, ale Otto nie chciał dłużej płacić. Po powrocie Tatuś nadal leżał w łóżku, ale ważne, że był w domu, czuliśmy się pewniej. Był bardzo cierpliwy, znosił swoją chorobę ze spokojem. Z czasem zaczął po trochu wstawać, szedł powoli, o dwóch laskach. Wygrzewał chorą nogę na słońcu.

Któregoś dnia przyszli Otto i Wolski z propozycją, żeby rodzice podpisali volkslistę, przekonywali, że dzieci pójdą do szkoły, a Mamusia będzie musiała uczyć się języka niemieckiego. Jeżeli nie, to nie zostaniemy na gospodarstwie. Odpowiedź otrzymali natychmiast: „to pójdziemy, tak jak inni”. To było podpisanie wyroku na naszą rodzinę. Wiadomo było, czego się możemy spodziewać. Rodzice nie chcieli zostać Niemcami. Wiedzieli, że skazują siebie i nas na biedę i poniewierkę. Ani przez chwilę nie żalowali takiej decyzji. Nikt z rodziny Mamusi ani Tatusia nie podpisał volkslisty.

Po zimie przyszła wiosna. Na wsi to duża różnica. Praca w polu nie bardzo nas interesowała, od tego byli dorośli. Mogliśmy dużo czasu spędzać na powietrzu. Jednak coraz bardziej byliśmy włączani do pracy. Każdy na miarę swoich możliwości. Czesia pomagała w kuchni, chłopcy paśli krowy, przynosiliśmy drewno do palenia w piecu. Szczególnie uciążliwe było zbieranie pokrzyw dla drobiu, bardzo tego nie lubiłam. Do mnie należało opiekowanie się Olkiem, najmłodszym bratem. Na podwórku było dużo niebezpiecznych miejsc, staw też

był blisko. Kiedyś wszedł na samą górę wysokiej drabiny. Chwilę spokoju miałam, jak spał, ale zdecydowanie za szybko się budził. Doszło mi jeszcze pasienie gęsi na łące, trudne to było zwłaszcza przed żniwami, kiedy już było ziarno w kłosach. Gęsi też o tym wiedziały. Ja pilnowałam, żeby nie weszły w zboże, a one pilnowały, kiedy zwrócę uwagę na coś innego. Myślę, że za często im się udawało, na hasło – gęgnięcie jednej z nich – wszystkie biegiem albo na skrzydłach lądowały w zbożu. Nie zatrzymywały się na skraju, tylko wchodziły coraz dalej i dalej, wydeptywały chodniki, a to mocno utrudniało koszenie zboża. My też nie byliśmy lepsi od gęsi i chętnie bawiliśmy się w zbożu w chowanego, gdy dorośli nie widzieli.

Przyglądałam się, jak gęsi fruną. Pomyślałam sobie, że nie jestem gorsza, jeśli głupie gęsi umieją fruwać, to ja też mogę. Pewnie nikt jeszcze na to nie wpadł, więc ja pokażę wszystkim, jak to się robi. Wzięłam dwa gęsie skrzydła, trzymałam blisko ramion, zaczęłam nimi machać i nic, nie wzniosłam się ani na centymetr. Pewnie źle trzymam skrzydła – pomyślałam. Wzięłam je w wyciągnięte dłonie, rozpędziłam się z górki i podskakiwałam. Niestety, nic z tego nie wyszło. Czułam się zawstydzona, dobrze że nikt o tym nie wiedział i nikt się ze mnie nie śmiał. Zmieniłam zdanie o gęsiach, niejedną raz przekonałam się, że to bardzo mądre ptaki.

Wspaniale bawiliśmy się nad stawem. Chlapaliśmy się w wodzie, próbowaliśmy łapać żaby albo pływalismy korytem. Był to pień drzewa wydrążony w środku. Kiedyś chłopcy zrobili kogutowi przyspieszony kurs pływania, kogut tę lekcję ledwo przeżył. Suszył się w słońcu i odpoczywał, a my zaglądaliśmy co chwilę, czy jeszcze żyje. Przednia zabawa była też po deszczu w błocie.

Na wyjazdy mieliśmy buty, a na co dzień chodziliśmy w drewniakach. Wyglądały one jak laczki, spody były ręcznie wystrugane z drewna, a z wierzchu była skóra. Podeszwy grube, proste, niedopasowane do stopy. W takich drewniakach bardzo niewygodnie się chodziło, a jak już zaczęło być wygodniej, bo spody się zdarły, drewno pękało i od początku trzeba było strugać podeszwę. Kiedy na podwórku było błoto, to drewniak utykał w błocie i stopa też w nim lądowała. Na zimę były dyby, pełne z wierzchu, spody takie same jak w drewniakach. Bardzo nie lubiłam w tym chodzić, miałam kostki poobijane do krwi.

Czasem chodziłam do Budzynia po jakieś drobne zakupy, prawie cała droga prowadziła przez las. Miałam już osiem lat i czułam się prawie dorosła. Chciałam pójść do Budzynia jeszcze z innego powodu. Będąc wcześniej u Stryjostwa, zobaczyłam w piaskownicy śliczne kolorowe wiaderko, łopatkę i różne foremki. Nie tylko nie mieliśmy takich zabawek, ale chyba nigdy nic takiego nie widziałam. Chciałam sprawdzić, czy jeszcze tam są – były. A Stryjostwo nie mieszkali już sami, zepchnięto ich do jednego pokoju z maleńką kuchenką. Dom zajęła niemiecka rodzina z małymi dziećmi i dlatego była piaskownica, a w niej foremki do piasku. Próbowałam sobie wmówić, że skoro wciąż tam są, to są wyrzucone, tym bardziej, że piaskownica znajdowała się w drugiej części podwórka, w pewnym oddaleniu od domu. To ja je sobie zabiorę – pomyślałam. Jednak przypomniały mi się słowa Mamusi: „nie wolno kłamać ani kraść, nawet złamanego szeląga”. Z żalem odeszłam, ale posłałam tam swoją, młodszą o trzy lata, siostrę Kazię. Na szczęście w piaskownicy już niczego nie było.

Wysiedlenie

Była sobota, koniec października albo początek listopada. Wolski i Otto chodzili po podwórku, zaglądali do chlewów, a potem przyszli na rozmowę do domu. Jeden z nich powiedział: „tę dużą świnię możecie zabić dla siebie, dla rodziny”. Zwykle nie byli tacy hojni, wydało się to podejrzanе. Otto odjeżdżał rowerem i śmiał się. Mamusia widziała to przez okno.

W poniedziałek, wczesnym rankiem, obudził mnie głos Mamusi: „dwa światełka migają na drodze, pewnie jadą po nas”. Za chwilę usłyszałam łomotanie do drzwi, byli obaj Wolski i Otto, jeden z nich powiedział: „w pół godziny się spakować, co nie zdążycie, to zostanie”. Mamusia stanęła przed nimi i powiedziała: „w pół godziny to pan się może spakować ze swoją rodziną”. Otto chwycił za kaburę, w której trzymał broń, w odpowiedzi Mamusia stanęła przed nimi: „proszę, niech pan strzela”. Chwila była straszna, wstrzymałam oddech. Otto mamrotał coś, nie zrozumiałam, co mówi. Nadeszła ta chwila, której z takim niepokojem oczekiwaliśmy. Tatuś usiadł na łóżku i szybko się ubrał. Zawsze tak wstawał, po wojskowemu. – Najpierw pakować, a potem ubierać dzieci – zdecydował Tatuś. Ja sama się ubrałam, oczywiście starsze rodzeństwo też. Zostało do ubrania dwoje młodszych. Tatuś, siedząc na łóżku, trzymał worki, a Mamusia wyjmowała z szaf ubrania, bieliznę, pierzyny. Wszystko, jak leci, było upychane w workach. Kazia stała w koszuli w kącie i trzymała szmacianą lalkę w jakiejs torebce, już była gotowa do drogi. Olek stał w swoim łóżeczku i nie wiadomo, czy rozumiał, co się dzieje. Czesia i Stasiu też pomagali. Mieciu posadził w ogródku słoneczniki, bardzo ładnie rosły, ale to była

późna jesień i pierwszy mróz by je zmroził. Odgrażał się, że jeżeli nas będą wyrzucać, to on te słoneczniki połamie. Właśnie nadeszła ta chwila i oboje łamaliśmy je, jeden po drugim. Stefka (dziewczyna, która u nas ostatnio pracowała) właśnie miała wolne, pojechała do rodziców w Chodzieży, miała wrócić rano i jeszcze nie zdążyła przyjechać. Bardzo jej brakowało do pomocy. Pomagali Stach i Kazimierz, pakowali i wynosili worki na wóz. Pakowanie trwało około półtorej godziny. Otto ponaglał, żeby szybciej. Przyszła kolej na ubranie dzieci, ale nie można było znaleźć butów, zostały spakowane, trzeba było wysypać worki i znaleźć właściwe buty. Dostaliśmy 8 marek na drogę, po jednej marce na osobę. Wsiedliśmy na wóz, Tatuś miał w miarę wygodne siedzenie, a my jak popadło i ruszyliśmy. Dokąd? Co nas czeka? Ze ściśniętymi sercami oddalaliśmy się od naszego domu, jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie, już las i jedziemy w nieznane. Nie jedliśmy śniadania, nie było na to czasu, ale nikt nie narzekał, że jest głodny. Na znak protestu Mamusia całą drogę szła za wozem, mając buty na obcasach. Otto jechał na rowerze z przodu, czasami gdzieś się zatrzymywał i jakiś czas nie było go widać. Na domiar złego, w Budzynie spadł z wozu kamionkowy garnek i z hukiem rozbił się w drobny mak. Dużo ludzi wyszło przed domy i z politowaniem patrzyli na nas, a ja bardzo się wstydziłam. Za Budzyniem już nikt nas nie znał i nie wzbudaliśmy zainteresowania. Po kilku godzinach dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia, do Morzewa. Otto zawrócił, spełnił już swoje zadanie, a Kazimierz rozpakował wóz i też odjechał.

W Morzewie

Tu dla nas przygotowano duży pokój, z mebli był tylko stół. Mieliśmy tutaj rozpocząć nowe życie. Właścicielami domu była polska rodzina, państwo Sarnowscy. Rodzina składała się z czterech osób: mama, dwie córki i syn. Mieli małe gospodarstwo. Przyjęli nas bardzo życzliwie, pomogli na miarę swoich możliwości. W korytarzu stał przenośny piec i tam można było coś ugotować. Spaliśmy na podłodze, tylko dla Tatusia znalazło się łóżko, pewnie od gospodarzy. Tatuś nie mógł z chorą nogą położyć się ani wstać z podłogi.

Następnego dnia obejrzelśmy wioskę. Po drugiej stronie ulicy był sklep, a w nim artykuły spożywcze, chleb, cukierki. Po obu stronach ulicy domy, ogródki, w głębi kościół – oczywiście zamknięty. Mamusia załatwiała urzędowe sprawy: meldunki, kartki na żywność itp. Byliśmy głodni, południe dawno minęło, a obiadu nie ma. Tatuś ugotował coś do picia, kroił chleb i zapytał: „posmarować cienko masłem i marmoladą czy grubiej tylko masłem?” Dostaliśmy chleb grubo posmarowany masłem i marmoladą. Tylko Mamusia po powrocie bardzo zdenerwowała się tym, że mało zostało i co będziemy jeść jutro czy pojutrze. Tatuś czuł się winny, milczał, a mnie zrobiło się bardzo przykro.

Któregoś dnia Mieciu mówi: „chodź, pójdziemy do sąsiadów, może dadzą nam obiad”. On już wcześniej tam był, pomagał, wykonywał jakieś drobne prace i dostał obiad. Weszliśmy do kuchni, rozmawiali z nami uprzejmie. Obiad wynieśli do pokoju, zawołali pracownika i siedli do stołu. My staliśmy w kuchni na progu, Mieciu zdjął buty, przełykał ślinę. Chodź idziemy, szepnęłam. Bardzo żałowałam, że dałam się namówić.

Jeszcze muszę wspomnieć o cukierkach, których widok w sklepie nie dawał mi spokoju. Pamiętam – gdy miałam kilkadziesiąt fenigów, weszłam do sklepu, stanęłam w kolejce i grzecznie poprosiłam o cukierki. W odpowiedzi usłyszałam, że cukierki są na kartki. My jeszcze nie mieliśmy kartek, a jak już mieliśmy, to cukierków dla polskich dzieci na nich nie było.

Olek rano, po obudzeniu coraz bardziej płaczącym głosem wołał: „Mamusi, proszę mleczka! Mamusi, proszę mleczka!”. Pamiętam, co wtedy czułam, a co musieli czuć Rodzice? Nie będzie mleka, masła, śmietany, oj, długo nie będzie.

Byliśmy tu dwa tygodnie. Nie chcieli nas tutaj, ponieważ wcześniej mieli informację, że jest osiem osób do pracy. Mieliśmy pracować w majątku, a jak zobaczyli, jakie to osoby, to zrezygnowali z nas. Następna przeprowadzka, znowu jedziemy.

Nietuszkowo

Dwa samotne domki nad szosą Chodzież - Ujście. Stały puste, bo Niemcy bali się partyzantów i nikt tam nie chciał mieszkać. Do Chodzieży 10 km, do Ujścia 6 km, a do Nietuszkowa – wioski 2 km. Nasz domek był mały, ale ładny, dwa pokoje ogrzewane jednym piecem, kuchnia, komórka, mały korytarzyk, taras i dwa albo trzy schody – wejście. W pokoju stał długi stół zбитy z nieheblowanych desek. Przy stole dwie ławki z takich samych desek, równej długości ze stołem. W kuchni pod ścianą stała stara szafa i piec do gotowania. A w drugim pokoju na podłodze słoma – barłóg do spania. Z korytarzyka schody na strych i jeszcze wejście

do piwnicy w jednym z pokoiów. Na zewnątrz małe podwórko i fundamenty po rozebranych budynkach – stodoły i budynku gospodarczym. Płoty i część drewna ze stodoły rozebrane i poukładane do wywiezienia. Studnia bardzo głęboka, kręcona na kolbę, bez wiadra i łańcucha. Ubikacji nie było. Tak wyglądało nasze nowe miejsce, w którym będziemy musieli przeżyć nie wiadomo jak długo. Wiadro mieliśmy, a dwudziestometrowa linka do bielizny wystarczyła (18 metrów do lustra wody). Woda już jest, trochę drewna też się znalazło, mogliśmy napić się gorącej herbaty.

Nazajutrz Mamusia wybrała się do urzędu (odpowiednik gminy) w Milczu. Tam powiedziała im po polsku, że nie mamy pieniędzy, żywności, opału. Natomiast w rodzinie są małe dzieci i chory mąż. Dali kartki na żywność i powiedzieli, że to wszystko, co mogą zrobić. Słyszał to jakiś interesant i powiedział po polsku: „palcie płoty”. Przydziały na kartki były bardzo małe. Może za dużo, żeby umrzeć, ale za mało, żeby żyć bez uszczerbku na zdrowiu. A dzieci do 14-tego roku życia dostawały połowę tego, co dorośli. Sytuacja była krytyczna, mieliśmy resztki pieniędzy, jeszcze chwila i nie będzie za co kartek wykupić. W którą stronę spojrzeć – las, dwa kilometry do ludzi i to obcych ludzi. Zostały wysłane listy do krewnych z prośbą o pieniądze. Rodzina nie zawiodła, przysłali po kilka marek, do czasu, aż sami zapracowaliśmy i podziękowaliśmy im za pomoc. Oni też niewiele mieli, też byli wywiezieni.

Któregoś dnia jacyś nieznani ludzie przyjechali wielkim samochodem i zabrali płoty i resztki drewna ze stodoły. U leśniczego kupiliśmy drewno na opał z przecinki. O przywiezienie był proszony najbliższy sąsiad mieszkający nad szosą w stronę Ujścia. Zgodził się. O ustalonej godzinie, wcześniej rano, Mamusia miała być w lesie i pomóc przy załadunku, jednak trochę się

spóźniła. Wyszła z domu, kiedy było jeszcze ciemno, ale nie mieliśmy zegara i trudno było utrafić w czas. Pan Mula (tak się nazywał) był bardzo niemą. Nawygadywał przykrych słów, na przykład: „byliście leniwi, dlatego was wyrzucili, dobrych gospodarzy nie ruszają”. Mamusia w drodze powrotnej miała natrętne myśli, żeby rzucić się pod jadący samochód i ze wszystkim skończyć. Tylko silna wiara w Boga ją uratowała. W domu długo płakała. Nigdy więcej pana Muli o nic nie prosiliśmy.

Ktoś podpowiedział, że należą się nam z urzędu jakieś rzeczy z naszego gospodarstwa. Po naszych staraniach, prośbie o niezbędne rzeczy, przede wszystkim o maszynę do szycia, przysłano zlecenie tylko na ziemniaki i zegar. Nasze gospodarstwo zajęli nasi najbliżsi sąsiedzi Lejmany (Lehman), o tym dowiedzieliśmy się bardzo szybko. I szybko też przekonaliśmy się, jak okoliczności zmieniają ludzi. Mamusia poprosiła znajomego gospodarza w Budzynie, żeby pojechał wozem po odbiór przyznanych nam ziemniaków i zegara. Łudziła się, że może z własnej woli dadzą coś więcej, przecież to wszystko było nasze i wszystko zostało.

Nie wpuścili Mamusi nawet do kuchni, rozmowa odbyła się na podwórku. Owszem, nagadali, że jesteśmy lenie, nieroby, nie zdążyliśmy wykopać wszystkich ziemniaków itp. Ale to Otto zarządzał pracami, rodzice nie mieli na to żadnego wpływu. Zwłaszcza pani Lejman była bardzo agresywna. Ziemniaki dali podmarznięte. Pomagał Stach i to on zaproponował, żeby Mamusia weszła do obory, to się trochę ogrzeje. Gospodarz, który pomagał, zamienił podmarznięte ziemniaki na własne, dobre. Zupełnie nie pamiętam, ile było tych ziemniaków i kto je nam przywiózł. Na jakiś czas mieliśmy co jeść. No i wiedzieliśmy, która godzina.

Szyszki

Może to był jeszcze listopad, a może grudzień. Zima jak zima, śnieg i mróz. Któregoś ranka zerwała się linka i wiadro z połową linki zatoneło w wodzie. Była jeszcze zapasowa linka i wiadro, ale na jak długo wystarczy?

Chodziliśmy we czwórkę do pracy, do zbierania szyszek na nasiona. Nikt nas nie zmuszał, ale chcieliśmy i musieliśmy zarobić pieniądze. Z koszykami w ręce szliśmy do lasu w śniegu i mrozie (często minus 20°C), bliżej albo dalej, tam gdzie wycinali drzewa. Wracaliśmy po dwóch, trzech godzinach. Rękawiczki szybko się moczyły i robiły się sztywne, dlatego najbardziej marzły ręce. Ale nie tylko ręce, cali byliśmy zmoczeni, zmarznięci i głodni. Zbieraliśmy te szyszki do końca sezonu, jak długo ścinali drzewa. Na strychu leżała ich spora kopka. Zostały sprzedane po sezonie. Zarobiliśmy pieniądze kosztem odmrożonych rąk i nóg, nie tylko stóp. Czesia była najbardziej poszkodowana, miała sączące się rany na palcach stóp i rąk. Ja nie miałam takich ran, może dlatego, że jednak nie chodziłam codziennie do lasu. Odmrożona skóra była fioletowa i bardzo swędząca. Jedynym lekarstwem była nafta. Smarowanie i nagrzewanie chorych miejsc przy lampie czy świeczce na krótko przynosiło ulgę.

Po zakupy chodziliśmy do wioski. Przydziały na kartki trzeba było tak rozłożyć, żeby było mniej więcej równo na każdy tydzień. Chleb, żytnia mąka, żytnia kasza, wstrętna margaryna, marmolada z buraków czy brukwi, cukier, proszek do prania, nafta. Oprócz cukru i proszku do prania wszystkiego było za mało. Z mięsa

trochę ochłapów z kością albo zamiennie kawałek kielbasy. Bez kartek była chyba tylko sól, kawa i ocet.

Pomocą były przywiezione ziemniaki, ale nie było tarki. Mamusia pomyślała chwilę, wzięła blaszaną pokrywkę, młotek i gwoździem powybijala w niej otwory. Po chwili wróciła ze zrobioną przez siebie tarką. Mieszało się po połowie utarte surowe ziemniaki i ubite na purre, gotowane. Z tego ciasta, bez grama tłuszczu, na płycie kuchennej piekły się placki. Przeważnie się przypaliły. Za często jedliśmy takie placki. Były niedobre, żołądek pusty, a przez gardło nie chciały przejść. Miałam wrażenie, że mi wyjdą uszami. Nikt nie wybrzydzał, były dwa wyjścia: jeść albo nie jeść.

Pewnego wieczora, a było to kilka dni przed wigilią, zapukał do drzwi pewien mężczyzna z workiem na plecach. Był to pan Sztrajch (Polak), przyniósł nam duży bochen chleba z własnego wypieku, po kawałku słoniny i boczku ze świniobicia, nie wiem co jeszcze. To był pierwszy człowiek, który podał nam rękę, wspomógł nas. W rozmowie wyszło, że jest kowalem, pracuje w majątku. Jego brata – księdza zastrzelili przy ołtarzu. Chyba nie muszę pisać, jaka radość zapanowała wśród nas. Poznaliśmy jednego dobrego człowieka. Wkrótce okazało się, że w pobliżu jest ich więcej.

Mieszkanie było w miarę możliwości uporządkowane. W pierwszym pokoju wzdłuż dłuższej ściany stało łóżko, dalej drążek na ubrania, niżej wszystko, co było do schowania. To wszystko od reszty pokoju oddzielała zasłonka. Ogólnie ubogo, ale bałaganu nie było. W drugim pokoju barłóg na podłodze ogrodzony deską i przykryty dywanem. Nie pamiętam co tam jeszcze było i gdzie stało. Na pewno nie mieliśmy żadnej szafy na ubrania.

Wigilia

Pierwsza na wygnaniu, że nie będzie tak jak w Brześcińcu wiedzieliśmy, ale że aż tak? Ranek mroźny, dużo śniegu. Usłyszałam jak linka się zerwała. No tak, nie mamy wody. Ogień można rozpalić i stopić śnieg, ale do picia i do przygotowania jedzenia nie ma wody. Tatuś napisał kartkę w języku niemieckim do zarządcy majątku z prośbą o pomoc. Czesia z Mieciem poszli i bardzo długo ich nie było. Nareszcie wrócili, kulając duży kłęb drutu. Pan Blenc (Blentz), tak się nazywał zarządca, kazał kowalowi – panu Sztrajchowi, zdjąć z płotu drut (a raczej była to skręcona linka) i wypalić. Właśnie ten drut rodzeństwo przyturlało na podwórze. Okazało się też, że pan Blenc jest tym człowiekiem, który powiedział: „palcie płoty”. Drutu było dużo, na zapas, ale potem już się nie zerwał. Któregoś razu zatopione w studni wiadra i linki zaczęły się i wszystko zostało wyciągnięte. Wracając do Wigilii, w tym szczególnym dniu było tak dużo nerwów i emocji, że nic więcej nie zapamiętałam. Nawet nie wiem, czy mieliśmy chociaż odrobinę opłatka.

Rok 1942

Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, wróciła szara rzeczywistość. Nadal chodzimy na szyszki, chodzimy do sklepu po zakupy, nadal jesteśmy

głodni. Po mięso i inne produkty trzeba pojechać do Chodzieży. Na wielu sklepach wiszą tablice: „tylko dla Niemców”, tam nie wchodzimy. Do Chodzieży można dojechać w dwojaki sposób – autobusem – dosyć wcześnie rano i powrót o 18-tej albo z wozakiem mleka. Był nim pan w średnim wieku, posiadał wóz na żelaznych kołach i jednego konia. Z przodu wozu było coś w rodzaju budy, taka ochrona przed deszczem, słońcem i śniegiem. Z tyłu stało kilkanaście konwi z mlekiem. Zabierał wszystkich chętnych. Pierwsze dwie osoby siadały obok pana mleczarka, dzielił się z nimi kocem do przykrycia nóg – jednym słowem komfort. Następni siadali z tyłu, na gołych konwiach. My dosiadaliśmy później, z przystanku autobusowego oddalonego 1,5 km od naszego nowego domu, w stronę Chodzieży. Najczęściej jechaliśmy do miasta autobusem, a wracaliśmy w godzinach południowych z wozakiem mleka.

Któregoś dnia nie poszłam na szyszki, było wyjątkowo zimno, w domu też, siedzieliśmy skuleni we trójkę: Olek, Kazia i ja. Mamusia weszła do pokoju, mówiąc: „no to teraz sobie pobiegamy”. Biegała z nami wkoło stołu, od razu zrobiło się nam cieplej i weselej. Tylko maluchy, Kazia i Olek nadal mogli być dziećmi, byli chronieni, na ile to było możliwe w tamtych warunkach. Dzieciństwo zostało nam w brutalny sposób zabrane. Musieliśmy w przyspieszonym tempie dorosnąć.

Któregoś dnia przyjechała na rowerze pewna znajoma. Była to siostra naszego pilnowacza, pani Irma. Przywiozła kawałek słoniny (kiedyś od nas pożyczony) i kilka marek. Bardzo się spieszyła, żeby wrócić do domu, wypić tylko kubek herbaty. Był już prawie wieczór, a do domu do Brzezińca około 26 km. Wspominała, że rodzice płaczą nad naszym losem. Bardzo prosiła, żeby

nikomu nic nie mówić, żeby brat się nie dowiedział. Był środek zimy, drogi śliskie. Pani Irma jechała do nas bardzo okrężną drogą przez Morzewo, skromnie licząc sześćdziesiąt kilometrów w obie strony. I pomyśleć: Irma i Helmut – dzieci jednych rodziców.

Wieczory

Długi stół, a przy nim każdy z nas miał swoje miejsce, podobnie jak w Brześcińcu, ale tylko podobnie. Okna szczelnie zasłonięte czarnym papierem, takie były nakazy. Na stole lampa naftowa mizernie oświetlała pomieszczenie, nikłym światłem obejmowała nas, siedzących przy stole.

To był dobry czas, każdy z nas mógł robić to, na co miał ochotę. Najczęściej wspominaliśmy Brzekiniec i różne wesołe, i mniej wesołe wydarzenia. Marzyliśmy, jak to będzie, kiedy wrócimy do naszego kochanego domu. Ani na chwilę nikt z nas nie zwątpił, że tak się stanie. Trudno było przewidzieć, że wojna aż tak długo będzie trwała, może lepiej, że wówczas o tym nie wiedzieliśmy.

Drugim tematem wspomnień były przeżycia Tatusia z okresu pierwszej wojny światowej, w której brał czynny udział jako żołnierz w armii pruskiej. Oczywiście nie był ochotnikiem, był w wojsku przymusowo i został wysłany na front wschodni. Znalazł się po niewłaściwej stronie. Niemcy wysługiwali się polskimi żołnierzami do własnych interesów. Tatuś walczył w okolicach Wilna, miał okazję modlić się przed obrazem Matki Bożej – Pani Ostrobramskiej. Było zimno i dużo śniegu, marzli.

Po jakimś czasie przewieziono ich na front zachodni – do Francji. Na łąkach pasły się krowy. Często padał deszcz, przemoczone mundury i buty, wszechobecne błoto, zwłaszcza w okopach – taka była codzienność. Walczył m.in. pod Verdun – najogólniej można powiedzieć, że było tam piekło na ziemi. Z tych opowieści najbardziej zapamiętałam, jak próbował przejść na francuską stronę. Było ciemno, kiedy się cofali, specjalnie został z tyłu i wołał, że jest Polakiem (po francusku), że chce przejść na ich stronę. Odpowiedzieli strzałami w jego kierunku. Nie udało się. Z trudem dołączył do swoich kompanów. Było niebezpiecznie, zaplątał się w zasieki.

Czasem wchodzili do tylko co opuszczonego domu, koledzy brali sobie różne rzeczy, Tatuś poszukał sobie czegoś gorszego na onuce, żeby czymś świeżym owinąć nogi. Zawsze się wzruszał, kiedy opowiadał, jak znalazł rozrzucone kartki z książki „Quo vadis” i że tam czytali Sienkiewicza. Wspominał jakiś dom – prawie cały zburzony, na kawałku sterczącego muru wisiał obraz Matki Boskiej, niżej przysypane łóżka. Następny dom, a w nim jeszcze ciepły obiad na stole.

Z opowieści pamiętam jedno zdarzenie, jak w stodole ukryło się wielu ludzi, zarówno wojskowi jak i cywile. Tatuś też się tam wcisnął na sam brzeg i wtedy wpadła bomba, większość osób zginęła albo została poraniona. Tatuś wyszedł z tego cało. Miał na sobie szkaplerz.

W międzyczasie stało się coś niezwykłego. Wigilia w okopach, pod wieczór ucichło strzelanie, na polu walki rozległy się śpiewy – to Polacy śpiewali kolędy. Nazajutrz żołnierze z obu stron wyszli ze swoich kryjówek, okopów i składali sobie życzenia świąteczne. Następnego dnia dalej toczyła się wojna.

Tatuś musiał strzelać, ale robił to tak, żeby nikogo nie trafić i miał nadzieję, że nikt z jego ręki nie zginął. Będąc jeszcze w wojsku, za celne strzelanie do tarczy, w nagrodę otrzymał Żelazny Krzyż i Oznakę Cesarską (medal). A strzelał z pożyczonego karabinu, bo jego własny znosił pociski w bok. Na wojnie otrzymał tarczę ochronną, to była taka budka z otworem na karabin i okienkiem do patrzenia. Nie wszyscy mieli tarcze. Siedzieli w okopach, było ciemno. Pewnego razu, kiedy Tatuś wrócił z warty, na jego miejscu siedział kolega, więc przykucnął z boku. Po chwili rozległ się przerażający krzyk, kolega za tarczą przewrócił się do tyłu, to kula wpadła przez otwór i poharatała mu twarz. A chciał się czuć bezpieczniej, siedząc na miejscu Tatusia. Nigdzie nie było bezpiecznego miejsca – w okopach czy na gołym polu. Wszędzie i zawsze czyhała śmierć albo zranienie. Wokoło leje po bombach, zabici i ranni, krzyki i dużo krwi – to była codzienność, dzień po dniu, aż do końca wojny.

Dodatkowo, prawdziwą udręką były wszy, dużo wszy, nie dawały o sobie zapomnieć ani na chwilę. Co jakiś czas żołnierze przechodzili na tyły frontu, żeby odpocząć. Nie mogli wypocząć, bo jak chcieli zasnąć, ciało się rozgrzewało i wtedy te nieszczęsne insekty były najbardziej aktywne.

Pomimo że Tatuś codziennie ocierał się o śmierć, nie został nawet draśnięty, ale wrócił do domu bardzo chory. Obawiał się, że nie przeżyje. Bardzo ucierpiały nogi, nabawił się żylaków. Dla poprawienia ogólnego stanu zdrowia kąpał się w wywarze z okruszków siana. Bardzo, bardzo powoli wracał do zdrowia. Sześć lat wyjętych z życiorysu, dwa lata w wojsku i cztery na wojnie.

Na początku drugiej wojny światowej Niemcy – sąsiedzi przyszli i odebrali Tatusiowi odznaczenia

wojskowe i zabrali karnisze do firanek. Karnisze były koloru złocistego, ciężkie, długie rurki z dobrego metalu – potrzebowali ich na przetopienie na pociski.

Wieczorem każdy z nas czymś się zajmował, mamusia przeważnie szyła, a raczej naprawiała nasze ubrania. Do dyspozycji miała tylko igłę. Na maszynie szyło się o wiele szybciej i mocniej. Ktoś inny teraz cieszył się naszą maszyną. Ja uczyłam się dziergać na drutach, czytałam albo pisałam. Uczyliśmy się też pisać niemieckie litery z nadzieją, że pójdziemy do szkoły. Do czytania było kilka numerów „Rycerza Niepokalanej” i „Posłańca Serca Jezusowego”. Nie za dobrze się czytało, bo dla mnie litery były za małe, niestety, nic innego do czytania w domu nie było. Czesia podobnie, czytała lub dziergała, ale żeby mieć wełnę na skarpetki czy rękawiczki, to najpierw trzeba było spruć jakiś stary sweter. To prućyśmy, każdy kawałek wełny był maksymalnie wykorzystany. Najbardziej lubił czytać Stasiu, szczególnie interesowała go historia i geografia, całymi godzinami wpatrywał się w mapy, a potem palcem rysował w powietrzu albo na piasku granice państw.

– Chcesz zobaczyć, jak wygląda takie czy inne państwo – pytał, rysując w powietrzu palcem.

– Nie – nic nie widziałam.

Od krewnych otrzymywaliśmy listy i należało na nie odpisywać. Przeważnie Mamusia pisała, my też dodawaliśmy swoje kartki. Najchętniej pisaliśmy do wujka Florka, on ostatnio mieszkał u siostry i szwagra Słotów w Wyrzysku, przy przedwojennej granicy niemieckiej. Wujek pochodził ze Śląska, a Ślązacy byli o wiele lepiej traktowani od reszty Polaków. Nie znam szczegółów, ale wujek Florek został zatrudniony u Niemca w gospodarstwie. Miał być bezpieczniejszy, bo tu był poszukiwany z powodu swojej ucieczki z Gorzyc. Niestety, Niemcy mieli jego papiery i wszystko o nim

wiedzieli. Ucieczka była w ich oczach przestępstwem. Wkrótce rodzina Słotów też została wywieziona. Po jakimś czasie przenieśli wujka Florka do innego gospodarza, ale tam był bardzo źle traktowany. Otrzymywaliśmy bardzo smutne listy, że gospodarz go upokarza i szydzi z niego, że marznie, bo rękawiczki i skarpety się rozpadły, nogi owija szmatami i śpi w zimnym chlewie. Starszy brat Edek, po dwuletnim pobycie w obozie w Dachau, już nie żył. Pamiętam słowa z listu wujka: „wizja śp. mojego brata – męczennika stoi mi ciągle przed oczami”. Po tym liście Mamusia płakała, a nam też było smutno, kochaliśmy wujka Florka, pamiętaliśmy, jak się z nami bawił.

Naszym skarbem był obraz „Najświętsze serce Jezusa”, ukochany obraz Mamusi, tylko ten jedyny jakoś się zabrał na naszą poniewierkę. Zawsze przed snem odmawialiśmy różaniec i inne modlitwy, nie zapominając m.in. o naszych wujkach Edmundzie i Florku.

Przydziały naftę na rodzinę czy na osobę (tego nie pamiętam) były tak małe, że na posiedzenie wieczorami nie wystarczało. Musieliśmy bardzo wcześnie kłaść się do łóżek (choć to nie były łóżka). Używaliśmy też karbidu do oświetlania, jednak rażące światło było bardzo szkodliwe dla oczu, a ostry zapach roznosił się po mieszkaniu. W Brześcińcu mieliśmy lampę fabrycznie robioną, bezpieczną, a tu musieliśmy sobie jakoś poradzić i zrobić coś lampopodobnego, co świeci. Wykorzystaliśmy blaszaną puszkę z wciskany w wieczkiem, w spodzie robiło się grubszą igłą otwór, nakładało trochę karbidu do środka i przez szmatkę wciskało się wieczko. Lampka gotowa, jeszcze tylko wstawić odwróconą wieczkiem do dołu puszkę do miseczki z wodą i zapalić. Ulatniający się gaz zapalało się zapalką i to było to, na co czekaliśmy – było jasno. Kiedyś, tak zrobioną lampkę, z ogromną siłą wyrzuciło



Józef Grzeczka - zdjęcie zrobione w Wilnie.

do góry i pozostał odbity na suficie ślad. Na stole w miseczce leżało wieczko od puszk i rozlasowany karbid. Nasze rękodzieło okazało się niebezpieczne, niestety nadal musieliśmy z niego korzystać.

Ziemniaki

To była podstawa naszego wyżywienia. Właśnie się skończyły. I co dalej? Niedobre były te placki pieczone na płycie kuchennej, oj niedobre, ale jednak były. Bez tłuszczu trudno było je upiec i nie przypalić. Do obiadu też brakowało ziemniaków. Nie mieliśmy żadnych innych warzyw, z konieczności więc nasze menu było bardzo skromne. Na śniadanie mleczna zupa (jak w Brześcińcu), ale z żytniej mąki i bez mleka, może z odrobiną margaryny, może bez, albo chleb z margaryną, marmoladą lub posypyany cukrem. Chleba wystarczało na jeden posiłek dziennie, na kolację musiały być upieczone placuszki z ziemniaków. A co na obiad? Mały wybór: żytnia kasza na gęsto z odrobiną tłuszczu (choć nie zawsze), mogła być też jakaś zupa z ochłapem mięsa z kością, a raczej kością z resztką mięsa, wszystkiego było mało, a ziemniaki właśnie się skończyły.

Niedaleko domu były dwa długie kopce z ziemniakami, grubo okryte słomą, ziemią i przysypane śniegiem. Wszyscy myśleliśmy o tym samym. Mamusia mówiła: „nie, nie, nie będziemy kraść”. Po kilku dniach musiała zmienić zdanie, bo jak długo można patrzeć na głodne dzieci? To była nocna wyprawa pełna strachu. Uzbrojeni w siekierę, szpadel, koszyki i co jeszcze było potrzebne, poszli – Mamusia i trójka starszych. Odgarnęli śnieg, rozbili zamrożoną ziemię, jeszcze uporali się ze

słomą i już było widać ziemniaki. Gdy nanosili ich do domu, trzeba było przykryć i zabezpieczyć kopiec, żeby nie zmarzły, a przy tym zostawić jak najmniej śladów. Mimo największej staranności, śladów pozostało dużo, chociażby wydeptana w śniegu ścieżka od domu do kopca i przy samym kopcu. To było bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie, kopce były blisko szosy, w każdej chwili mógł nadjechać samochód. Za taką kradzież mogli wysłać do obozu albo zrobić jakąś inną krzywdę. Jednak, szczęśliwie dla nas, wszystko dobrze się skończyło, bo do rana napadało śniegu, który przykrył to, co miało być niewidoczne. Odetchnęliśmy z ulgą. Za zabrane ziemniaki osobiście wysłałam pocztą pieniądze na adres właściciela, tj. do biura majątku (anonimowo oczywiście).

Zima nadal trzyma

Nie tylko padający śnieg zasypuje drogi, ale jeszcze zwiewa go z pól i tworzą się zasy. Coraz trudniej poruszać się po drogach, a szczególnie po polnych drogach. Ktoś z nas, codziennie albo co drugi dzień, brnie w zaspach do sklepu po zakupy. Tej pierwszej zimy to jeszcze nie byłam ja.

Szose odśnieża grupa mężczyzn, łopatami odrzucają śnieg na pobocze, wygląda to jak walka z wiatrakami, w nocy znów zasypie albo zawieje, jak to w zimie. Przychodzą do nas zjeść swój chleb, Mamusia gotuje dla nich duży garnek kawy (przynieśli własną), żeby mogli napić się czegoś gorącego. Od nich dowiedzieliśmy się, komu zawdzięczmy stół i ławy, a także słomę do spania. To właśnie oni wcześniej

nocowali w tym domu i na własne potrzeby pozbijali z desek, z rozebranej stodoły, stół i ławki. Oczywiście byli Polakami, pochodzili z sąsiednich wiosek oddalonych po kilka kilometrów od miejsca pracy. To był nasz jedyny kontakt z ludźmi. Tatuś wypytywał ich o różne sprawy, niezmiennym tematem była wojna. Były to złe wiadomości, Niemcy szli do przodu i zwyciężali na każdym froncie. Na lepsze nowiny dla nas musieliśmy długo czekać. Czasem mężczyźni zostawili niemiecką gazetę, innych nie było. Tylko Tatuś umiał czytać po niemiecku, więc nam to i owo przetłumaczył. Szefem grupy był pan Ciężki z sąsiedniej wioski – z Milcza, on najwięcej wiedział i ostrzegał, żeby być ostrożnym, nie wszystkim z tej grupy ufał.

Pomimo że noga Tatusia nie była leczona, to ku naszej radości, choroba powoli się cofała. Chodził po domu z jedną laską, a później nawet bez laski. Dostawał, tak jak inni, przydział na papierosy, a że był niepalący, to można było je wymienić na coś innego albo podarować za jakiś dobry gest. Ze szpitala otrzymał świadectwo, że jest niezdolny do pracy i już nikt ponownie tego nie sprawdzał. Jak każdy odpowiedzialny ojciec w rodzinie, na ile mógł, pomagał w domu przy różnych pracach, czuł się potrzebny i był bardzo potrzebny każdemu z nas.

Do pracy

Po każdej zimie przychodzi wiosna. Tej wiosny w naszej rodzinie zaszły duże zmiany. Mamusia, Stasiu i Czesia dostali nakazy pracy w lesie przy sadzeniu drzewek. Nowe doświadczenie, do tej pory nieznane, zawsze pracowaliśmy u siebie, na własnym polu czy w ogrodzie.

Spadły na mnie nowe obowiązki: zmywanie naczyń, sprzątanie i opieka nad Olkiem. Jakoś tak było, że Czesia opiekowała się Kazią, a ja bardziej od innych opiekowałam się Olkiem. Nazywał mnie Łuta, to było moje nowe imię na jakiś czas, krótsze i łatwiejsze do zapamiętania. Pomagałam też Tatusiowi przy gotowaniu obiadu i razem opiekowaliśmy się najmłodszymi.

Nagle w domu zrobiło się pusto, najbardziej brakowało Mamusi – przywykliśmy, że zawsze była w domu i umiała zaradzić każdej biedzie. Do pracy na szczęście nie było daleko, mieszkaliśmy przy lesie. W grupie pracujących było około dwudziestu osób (mężczyźni i kobiety). Silniejsi specjalnym narzędziem robili dziury, a pozostali do tych otworów wkładali sadzonkę, z boku wbijali łopatkę i przyciskali ziemią. Musiało być mocno przyciśnięte, żeby nie było można takiej sadzonki wyrwać. Sprawdzali, jeżeli udało się wyrwać, to delikwent musiał sadzić jeszcze raz. Ziemia była twarda, trzeba było wysiłku, żeby dobrze posadzić każdą roślinkę. Sadzenie lasu, to tak ładnie brzmi, jednak trzeba się było nieźle napracować, zwłaszcza małolaty to odczuwały. Czesia miała niecałe dwanaście lat i jej było najtrudniej, miała spuchnięte ręce, a zwichnięte nadgarstki sprawiały dotkliwy ból. Żeby mniej bolało, Mamusia ściśle owijała nadgarstki paskiem płótna. Natomiast kręgosłupy bolały wszystkich, Mamusia często pracowała na kolanach. A pogoda różna, w marcu czy kwietniu jak w kalejdoskopie: słońce, a za chwilę deszcz, śnieg i zimno. Do pracy wychodzili rano, a wracali późnym popołudniem, zmęczeni i głodni. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile godzin pracowali. Oprócz zarobku za szyszki, to były pierwsze zapracowane pieniądze. Dopiero teraz mogliśmy podziękować krewnym za wsparcie finansowe. Bez tej pomocy byśmy nie przetrwali.

Długo odkładaliśmy pieniądze na poważną inwestycję. Uradziliśmy, że kupimy kozę i tak się stało. Tatuś zbudował dla niej lokum z tyczek i czekaliśmy na zwierzątko, jakiego do tej pory nie mieliśmy. I stało się, któregoś dnia nasz nowy nabytek przyszedł na własnych nogach, przyprowadzony przez Miecia. Było dużo uciechy, głaskaliśmy ją, wołaliśmy „koza, kozunia”, a że była kotna, za kilka tygodni mieliśmy mleko. Równocześnie przybyło obowiązków, koza musi coś jeść i my musieliśmy o to zadbać. To prawda, że kozy nie są zbyt wymagające, mówi się, że nawet miotłę mogą zjeść. Na miedzach, na rowach zrywaliśmy trawę albo kosiliśmy z pomocą sierpa (za zgodą właścicieli). Koza nie pogardzi liśćmi z krzewów, najchętniej sama je ogryzie, kora z drzewka to rarytas. Jednak u nas żadnego drzewa ani krzewu nie było. Były w lesie, to przynosiliśmy dla niej smakołyki.

Pewnego dnia pod nasz dom konnym wozem podjechał pan S. z Milcza (wioska za Nietuszkowem). Zaproponował, żeby Mieciu pasł u nich krowy, na zachętę przywiózł dwa nieduże worki ziemniaków. Obiecował, że będzie miał u nich dobre jedzenie i będzie dobrze traktowany. Rodzice poważnie się zastanawiali, przecież miał tylko 10 i pół roku. Mieciu krowy czasem pasł, ale u siebie, to zupełnie co innego. Ziemniaki się kończyły, poprzedni manewr był już niemożliwy, co robić? Z ciężkim sercem Rodzice się zgodzili, myśląc, że chociaż on nie będzie głodny. Mamusia spakowała jego ubrania i z tobołkiem na plecach poszedł na służbę. On pierwszy opuścił dom. Mieciu był sprytnym chłopcem, umiał sobie poradzić w trudnych sytuacjach i łatwo nawiązywał kontakty. Pracodawcy nie wywiązali się z obietnicy, nie było dobrego jedzenia i oprócz pasienia krów zatrudniali go do jeszcze innej pracy, często ponad siły. Jesienią,

w czasie wykopów, zbierał ziemniaki, a pełne koszyki wsypywał na wóz wyższy od niego. Było mu bardzo przykro, bo nie dostawał tego, co oni jedli, np. budyniu na obiad. O tym dowiedzieliśmy się znacznie później. Wcześniej nie mówił, bo nie chciał martwić Rodziców.

Sąsiedzi

Do sąsiedniego domku, oddalonego o trzydzieści, czterdzieści metrów przyjechała grupa ludzi, która rozebrała studnię, wyciągając kilka kręgów. Dosłownie kilka dni później do tego pustego domku przywieźli polską rodzinę. Po wodę zmuszeni byli przychodzić do naszej studni, było to dla nich duże utrudnienie. Rodzina była trzypokoleniowa: starsze i młodsze małżeństwo oraz dwóch synów młodszej pary – Waldek (rok młodszy ode mnie) i Zenek (rówieśnik Kazi). Po jakimś czasie ich mama urodziła trzeciego syna. Pochodzili z Chodzieży. Ich sytuacja była nieporównanie lepsza od naszej. Oboje byli fryzjerami, on pracował w swoim zawodzie w zakładzie fryzjerskim w Pile (dojeżdżał). Obie panie i starszy pan byli w domu, a chłopcy nie byli obciążeni żadnymi obowiązkami. Najczęściej po wodę przychodził starszy pan Piechota, często przychodził po prostu porozmawiać. Byli miłymi ludźmi, pomagaliśmy sobie, na ile było to możliwe. Jednak to my bardziej potrzebowaliśmy pomocy.

Szykują się zmiany

Trudno mi powiedzieć, czy sezon na sadzenie drzewek się skończył, czy się jeszcze nie skończył, gdy rozpoczęło się zbieranie żywicy. Odpowiedzialny za wykonanie tego zadania był pan Jopp (Polak), znajomy rodziców z Budzynia. To on poradził, żeby postarać się o tę pracę. Wszyscy musieli pracować. Wprawdzie przepisy były takie, że pracować muszą ci, którzy ukończyli czternasty rok życia, ale na własnej skórze przekonaliśmy się, że ich nie przestrzegano. W tej sytuacji lepiej było pracować na miejscu, bo inaczej mogli wysłać na dawne tereny niemieckie (dużo ludzi tak wysłali) albo dalej od domu, a tego każdy się bał. Chodziło tu o Stasia i Czesię. O przyjęciu do pracy decydował leśniczy lub nadleśniczy. Udało się nam. Mamusia, Stasiu i Czesia zostali zatrudnieni w lesie przy żywicy. Były to dla nas nowe doświadczenia, nikt z nas nie wiedział, na czym ta praca polega. W lesie zaczęły się przygotowania do otwarcia sezonu. Któregoś dnia przed domem zatrzymał się konny wóz załadowany blaszanymi beczkami na żywicę, ale nie tylko. Okazało się, że to był znajomy z Budzynia i przywiózł dla nas różne produkty żywnościowe, pamiętam tylko, że była m.in. marmolada. Był to rewanż od rodzin, którym kiedyś Tatuś pomagał. Nie zapomnieli, przy pierwszej okazji podzielili się tym, co mieli. To był dobry dzień, pełen radości i wdzięczności za pamięć i za to wszystko, co otrzymaliśmy od tych anonimowych, dobrych ludzi. Na jakiś czas było więcej jedzenia. Pan Jopp zazwyczaj przyjeżdżał na rowerze raz w tygodniu, aby sprawdzić, czy dobrze się dzieje w lesie. Był łącznikiem między nami

i Budzyniem. Czasem przywiózł nam coś z żywności, przeważnie to była marmolada.

A co w lesie? To była dobra decyzja, oczywiście trzeba było pracować, wykonać normę, jednak nikt nie pilnował i nie było sztywnych godzin, w których trzeba być w pracy.

W zimie mężczyźni odpowiednimi narzędziami zdrapywali korę z pni, wymagało to dużej siły. Kilkuhektarowe obszary lasu, w trzech różnych miejscach, nazywały się oddziałami. Oddział drugi był najbliżej domu, dalej – dziewiąty, a jedenasty był oddalony najbardziej, około 1500 m. Każdy oddział podzielony był na tzw. kable – mniejsze kawałki rozorane bruzdami po około 100 drzew. Praca była na akord, a płaca od ilości zebranej żywicy. Wiosną, jak już było ciepło, w przygotowanych drzewach pracownicy złobili narzędziem w kształcie litery „u” rowki, jeden pionowy długi i dwa z boków pod kątem 45-50 stopni. Niżej wisiała mała doniczka i do niej spływała żywica. Następnego dnia inna osoba przychodziła z blaszanym wiadrem i metalową łopatką z drewnianym uchwytem, dopasowaną do doniczki. Wylewała żywicę do wiadra, potem łopatką, ruchem w prawo i w lewo, doczyszczala doniczkę i zawieszała w zaczepie na swoim miejscu. Właśnie od doniczek zaczynała się nasza praca. Mówię nasza, bo ja też często chodziłam do lasu pomagać. Las był miejscem, gdzie czuliśmy się dobrze. Najpiękniej było bardzo wcześnie rano, gdy wraz ze wschodzącym dniem budziły się różne gatunki ptaszków i wypełniały las prześlicznym śpiewem. Dzieciół wytrwale stukał, kukały kukułki, pohukiwały puchacze. Tuż spod nóg wyskakiwał spłoszony zając albo uciekała wystraszona sarenka. Szczególnie rano albo zaraz po deszczu intensywnie pachniały drzewa, trawy, mchy, kwiaty, kwitnące krzewy i wszechobecna żywica. Naszym

niezawodnym barometrem były białe, niepozorne kwiatki zebrane w lesie. Raniutko, jeśli były otwarte, był to dla nas znak, że będzie ładna pogoda. Gdy były zamknięte, to musieliśmy się bardzo spieszyć – będzie padał deszcz. Nigdy nasze kwiatki się nie pomyliły. Po drodze do pracy nasze zmysły odbierały piękno przyrody, nie czuliśmy zagrożenia ani wojny. Jednak na miejscu czekała nas ciężka praca – praca dla dorosłych. Jediną dorosłą osobą była Mamusia, czternastoletniego Stasia i dwunastoletnią Czesię nie można było za takich uznać, o sobie nie wspominam. Z wiadrem w jednej ręce, łopatką w drugiej, podchodzili od drzewa do drzewa, żeby wylać zawartość doniczki, wyskrobać ją i zawiesić. I tak dzień w dzień, przez pół wiosny, całe lato i kawałek jesieni. Takich doniczek do opróżnienia było około 1000 dziennie dla jednej osoby, raz mniej, drugi raz więcej, zależało, ile mężczyźni poprzedniego dnia przygotowali. Grubsze drzewa miały je z obu stron. Zebraną żywicę trzeba było zmierzyć, zanurzając metalową miarkę z podziałką w wiadrze i przez duży lej wlać ją do beczki. Na każdym oddziale była tylko jedna ziemianka z beczkami, więc każdego następnego dnia trzeba było nosić wiadra wypełnione żywicą z coraz większej odległości. To wymagało najwięcej wysiłku, bo wiadra były ciężkie. Za ciężkie. Mamusia miała słabą orientację w terenie, podchodziła kolejny raz do tych samych drzew. By temu zapobiec, na każdej opróżnionej doniczce kładłam patyk, pomagałam też nosić wiadro z żywicą. Na początek taka była moja praca. Umiałam też poradzić sobie z opróżnianiem doniczek, ale nie było dla mnie dodatkowej łopatkii.

Oprócz nas przy wybieraniu żywicy pracowali jeszcze inne osoby. Byli to dwaj mężczyźni – ojciec i syn, w zastępstwie czasem przyszła kobieta. Państwo Piontek mieszkali w miejscowości o bardzo ładnie

brzmiacej nazwie „Cisza”. Od nich Stasiu pożyczał książki historyczne, grube jak cegły, razem około dziesięciu tomów. Wykorzystywał każdą wolną chwilę na czytanie. Ostatni tom został oddany po wojnie. Przy jego doskonałej pamięci wzbogacił swój umysł o ogromną ilość wiedzy historycznej. Robota w lesie nie szła mu tak gładko jak czytanie. Był bardzo dokładny i powolny. Nie tylko wysmarował się żywicą jak nikt, ale też potrzebował znacznie więcej czasu na wykonanie zadań.

Po skończonej, kilkugodzinnej pracy wracaliśmy do domu bardzo zmęczeni i głodni. Wówczas uroki przyrody nie miały żadnego znaczenia. Tatuś starał się coś ugotować na obiad. Dużego wyboru nie było, krupnik albo zielona zupa z pokrzyw lub lebiody. Po krótkim odpoczynku następne zajęcia, jak to w każdym domu: zmywanie naczyń, pranie, sprzątanie, zakupy. Kiedy było więcej do niesienia, to na zakupy szliśmy z Czesią albo z Kazią. Jeśli było mniej, Czesia zajmowała się domem, a ja szłam sama.

W naszym małym gospodarstwie pojawiły się króliki i oczekiwane kozłátko. Zwierzaczki sprawiały nam dużo radości, bo mogliśmy się z nimi pobawić. Mlekiem dzieliliśmy się z kozłaczkiem, to był jego jedyny pokarm, a dla nas kubek do mlecznej zupy. Niewiele, ale lepsze to niż nic. Był problem, bo Czesia nie tolerowała smaku koziego mleka i jego zapachu. Codziennie musieliśmy zwierzętom dostarczyć świeżej trawy. Koza musiała być na uwięzi, ponieważ nie było żadnego opłotowania, a nie mogła przecież wejść w cudze rośliny, które rosły wokoło domu. Podwórko zostało skopane i posialiśmy tam warzywa. Opał też zajmował trochę miejsca. Dla nas zostały wąskie ścieżki na dojsčia. Każdy skrawek ziemi był maksymalnie wykorzystany.

Do Nietuszkowa przywieźli znajomą rodzinę państwa Sarnowskich z Morzewa. To ta rodzina, u której mieszkaliśmy w Morzewie. Oni mieli dużo lepsze warunki do życia. Wszyscy byli dorośli i obsadzono ich na małym gospodarstwie po Niemcu, który przeniósł się na lepsze gospodarstwo. Mieli konia i krowę, trochę ziemi, mały domek – cały dla siebie. Nie przypominam sobie, żeby pani Sarnowska oraz dwie córki i syn musieli gdzieś pracować. Jedna z córek była krawcową.

Zaczelśmy nawiązywać kontakty z niektórymi ludźmi z wioski. Nie przypominam sobie, kto dał nam namiary, mógł to być kowal – pan Sztrajch albo pan Ciężki, ale wiedzieliśmy do kogo iść z prośbą o pomoc. Było to dla mnie bardzo trudne doświadczenie, bo przeważnie ja byłam posłańcem. Na początku z kartką, na której wypisana była przez Tatusia prośba, chodziłam tam i z powrotem, zanim odważyłam się wejść na podwórko i oddać ją pierwszej napotkanej osobie. Z trzech wybranych rodzin, dwie były bardzo życzliwe i wspomagały nas, na ile to było możliwe. Oni też się bali, w wiosce nic się nie ukryje, sąsiedzi widzą, kto przychodzi i odchodzi. A muszę zaznaczyć, że oni podpisali volkslistę, jak powiedziała pani Nowakowa: „żeby uratować swoje gospodarstwo”. Byli bardzo dobrymi ludźmi, szczególnie pani Nowakowa okazała nam dużo serca. Rodzina Nowaków składała się z sześciu osób: rodziców, synów Stefana i Leona, córki Praksedy i najmłodszej – siedemnastoletniej Melanii. Drugą rodziną byli państwo Klejwenhagenowie, którzy też nam pomagali. Ich rodzina składała się z pięciu osób: rodziców, dwóch córek (starsza była w moim wieku) i babci. W jaki sposób nam pomagali? Nowakowie zatrudniali nas do różnych prac w swoim gospodarstwie, nie płacili pieniędzmi tylko produktami żywnościowymi, np. ziemniakami, innymi warzywami,

mąką, a czasem kawałkiem chleba, słoniny czy boczku. To było dla nas na wagę złota, przyjmowaliśmy wszystko z wdzięcznością. W czasie pracy zapraszali nas na posiłek – obiad czy podwieczorek. Druga rodzina rzadziej potrzebowała naszej pracy – tylko w żniwa i w wykopki. Jednak też pomagali w różnoraki sposób. Trzecią rodzinę, po kilkukrotnej odmowie, przestaliśmy prosić o cokolwiek. Chociaż, gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że jeden raz zrobili mały, bo mały, ale dobry uczynek. Niech im to będzie policzone.

Jednak najpierw trzeba było wykonać w lesie to, co do nas należało, zebrać żywicę. Wstawaliśmy bardzo wcześnie rano – o czwartej, jedliśmy szybkie, skromne śniadanie i do lasu. Czasem, gdy Mamusia nie miała sumienia budzić mnie tak wcześnie, to Czesia załatwiała sprawę raz dwa, wyciągała mnie z pościeli, kropiła zimną wodą i już byłam gotowa. Oj, w tamtej chwili, gdybym tylko mogła, pewnie zrobiłabym jej coś złego, niestety – taki jest los młodszej siostry. To ważne, żeby wcześnie zacząć, bo wtedy żywica jest płynna, łatwo ją wylać i nie potrzeba wysiłku do skrobania doniczki. Z każdą godziną, zwłaszcza jak był upał, żywica twardniała i coraz trudniej było doczyścić doniczkę. Jednak o wczesnej porze była rosa, a czasem to i mokro, i zimno. Na drugie śniadanie były po dwie skibki chleba (jak był) z margaryną, marmoladą albo posypyany cukrem. A jak nie było chleba, to ja zostawałam w domu z Tatusiem, gotowaliśmy jakąś zupę i niosłam ją do lasu. Zaczynaliśmy pracę wcześniej, to i kończyliśmy wcześniej, około trzynastej. Byliśmy bardzo zmęczeni, nogi nie chciały nieść i jeszcze brudni, bo żywica jest lepka, nie tylko ręce były oklejone, ale całe ubrania. Ręce jako tako zmywała nafta, mieliśmy jej jednak mało, tyle co na lekarstwo. Natomiast ubrań nie dało się doprać. Bywało, że czasem została pominięta jakaś doniczka

i następnym razem (przychodziło się w to samo miejsce za trzy tygodnie) nie dosyć, że się przełała, to była cała upaprana i oklejona z wierzchu twardą żywicą. Wtedy cierpiały nasze nadgarstki (Czesi i moje). Żeby mniej bolało, ręce miałyśmy ciasno poowijane bandażem. Najgorzej było, kiedy padał deszcz, wówczas żywica i woda poukładały się warstwami, a przy przebijaniu warstw woda chlapała nie tylko na twarz, ale i na ubranie. Ze względu na twardnienie żywicy pracowaliśmy w niedzielę, za to poniedziałek był wolny. Pierwsza część dnia upływała na pracy w lesie, ale resztę również spędzaliśmy pracowicie.

Leśniczy – pan Hofman, na naszą prośbę, pozwolił w lesie zbierać drewno na opał. Zbieraliśmy i na plecach przynosiliśmy gałęzie, szyszki i korę. Robiliśmy to przy okazji, wracając z lasu, a także w wolnych chwilach.

Któregoś dnia bawiliśmy się na podwórku. Mamusia wyszła z domu i zapytała:

– Pójdziecie po drzewo do lasu? Dostaniecie po kawałku chleba z margaryną.

– Tak, pójdziemy – odpowiedziało któreś z nas.

– A chleb zjecie teraz, czy jak wrócidzie?

– Teraz – padła odpowiedź. Za chwilę Mamusia wyszła, trzymając trzy skibki chleba w rękach. Chleb zjedliśmy szybko, ale nadal byliśmy głodni. A do lasu trzeba było iść, nazbierać patyków i przynieść na plecach, ile kto uniesie.

Mieliśmy przed sobą poważne zadanie, musieliśmy zrobić przecinkę w młodym lesie i przygotować jakiś zapas drewna na zimę. Rankiem, jak zwykle najpierw żywica, a potem ta nieszczęsna przecinka. Ja przyniosłam obiad do lasu i pełni zapału wzięliśmy się do pracy. Drzewa (tyczki) wyznaczył leśniczy. Stasiu siekierką wyrąbywał drzewka. Mieciu, który przyszedł pomóc, siekierką obcinał gałęzie,

a Mamusia, Czesia, ja i Kazia miałyśmy to wynosić i układać na kupkę. Obok pracowało dwóch mężczyzn, najpierw wyrąbywali drzewa i obcinali gałęzie. Popatrzyłam i pomyślałam, że ich jest tylko dwóch, a nas cała ekipa, u nas na kupce leży kilkanaście tyczek, u nich nic, to my prędzej uporamy się z robotą. Na początku, Kazia i ja biegiem wynosiłyśmy wspólnie jedno drzewko, ona chwylała za cieńszy, ja za grubszy koniec i na kupkę. Nie na długo wystarczyło nam siły, już nie biegałyśmy, ale chodziłyśmy coraz wolniej i wolniej albo i wcale. Dobrze, że Mamusia i Czesia były silniejsze. Przyjechał leśniczy i nie podobało mu się to, co zobaczył. Nasz kupka się rozlażyła, kołki z boków były za słabe. Pomógł on i nasi sąsiedzi, wbili dodatkowe mocniejsze kołki. Oni już skończyli swoją robotę i poszli do domu, a my jeszcze w lesie, dosłownie i w przenośni. Chyba nigdy nie byliśmy do tego stopnia zmęczeni. Już zapadał zmrok, z trudem ciągnąc nogi, w milczeniu, wracaliśmy do domu.

Zbieraliśmy, co tylko można było: jagody, maliny, jeżyny, grzyby i kasztany. Nasi znajomi rolnicy nie mieli na to czasu, więc bardzo chętnie brali od nas leśne przysmaki (oprócz kasztanów). W Nietuszkowie mieszkali przyjezdni Niemcy z Berlina (uciekli przed bombardowaniami). Oni też chętnie kupowali od nas dary lasu zwłaszcza, że sami bali się tam wejść ze względu na partyzantów. Nieraz napotykalśmy podejrzane osoby wychodzące z zarośli. Partyzant czy uciekinier?

Pamiętam, że to była niedziela, przed domem zatrzymały się dwa duże samochody, wypełnione policją w czarnych mundurach z bronią w ręku. Błyskawicznie otoczyli dom, kilku weszło do mieszkania, inni poszli na strych i dokładnie przeszukali każdy kąt. Nawet mysz by się nie wyślizgnęła niezauważona. Na szczęście akurat nikogo obcego u nas nie było.

Utkwiło mi mocno w pamięci inne zdarzenie (cofam się trochę w czasie). Kiedyś rano tatuś rąbał drewno na podwórku, nagle wrócił do mieszkania i powiedział: „cicho, nikt nie podchodzi do okna”. To był pierwszy maja, Niemcy uroczyście obchodzili ten dzień, akurat ze śpiewem czwórkami maszerowała szosa w naszą stronę duża grupa chłopców w mundurkach tzw. Hitlerjugend. Będąc już blisko, przzerwali śpiewanie i zaczęli wrzeszczeć: „polskie świnię, przekłęci Żydzi, polscy bandyci, polskie świnię, przekłęci Żydzi”. Z zaciśniętymi pięściami podbiegli kilka kroków w naszym kierunku. Byli bardzo agresywni i niebezpieczni. Właśnie tacy mieli być, tak wychowywała ich organizacja młodzieżowa. Staliśmy jak sparaliżowani, baliśmy się oddychać. Za jakiś czas doleciał do naszych uszu śpiew ich patriotycznej pieśni „Deutschland, Deutschland uber alles”. Po takich wrażeniach trudno się uspokoić.

Zaczęły się żniwa, oczywiście pomagaliśmy, ile tylko było można, przy wiązaniu i zestawianiu snopków w mendle. Najczęściej było tak, że Mamusia pracowała z innymi przy wiązaniu snopków. Stasiu i Czesia do tej pracy byli za słabi, więc z jakąś starszą osobą znosili snopki i ustawiali w kopki. Po wczesnorannej pracy w lesie, to była druga zmiana, bardzo ciężka praca w upale, aż do zachodu słońca albo i dłużej, gdy trzeba było skończyć jakieś pole. Kiedyś Mamusia żaliła się, że brakuje jej siły, że nie podoła. Po zjedzeniu podwieczorku i małym odpoczynku poczuła się znacznie silniejsza.

Bywało też, że obie z Czesią kopałyśmy po kilka worków ziemniaków, nie tylko do jedzenia, ale także, a może przede wszystkim, dla świń. Dorosła osoba nie musiała wtedy tracić na to czasu. A my, za każdym razem pytałyśmy panią Nowak, czy możemy wziąć pół koszyka ziemniaków do domu. Skinieniem głowy dawała znak,

że tak. Tatuś nam tłumaczył, że nie można tylko prosić i brać, że trzeba na to zapracować.

Ktoregoś dnia, właściwie wieczora, Mamusia wróciła z pracy jak zwykle bardzo zmęczona. Czekaliśmy na kolację, miał być tzw. „ślepy śledź” (cebula, woda, ocet i cukier) i ziemniaki w mundurkach, akurat dogotowywały się na piecu. Mamusia pokroiła cebulę, już wszystko było w misce, zawołała: „podajcie mi ocet”. Ktoś podał butelkę i po kuchni rozszedł się zapach nafty. Mamusia bardzo się rozplakała (jak wówczas, kiedy upokorzył ją, wspomniany wcześniej, pan Mula). Było nam wszystkim bardzo, bardzo przykro, lepiej żeby na nas pokrzyczała, w końcu to ktoś z nas tę butelkę z naftą podał. Były jeszcze ziemniaki, więc nie poszliśmy spać głodni.

Nie jestem pewna, tego lata czy następnego, Tatuś też poszedł pomóc przy żniwach. Wiadomo, że chodzenie, zwłaszcza po miękkim podłożu, sprawiało mu ból i chora noga puchła, dlatego nasza ekipa przynosiła snopki, a Tatuś je ustawiał. Był niezastąpiony przy układaniu stogów (miękkie podłoże!). Robił to doskonale, żaden stóg w jego wykonaniu nie zamókł. Dlatego nasi przyjaciele chętnie Tatusia zatrudniali do stawiania stogów, a on był zadowolony, że mógł im pomóc i w części zrewanżować się za życzliwość, jaką nam świadczyli.

Kiedy żyto było zebrane z pola, zawsze zostawały jakieś resztki, tu i tam leżały kłosy. Zbieraliśmy cierpliwie te kłosy, dla nas złote, jak kwiaty do bukietu, bo w środku był chleb. Jeszcze trzeba było kłosy wykruszyć, oczyścić z plew i mieliśmy ziarno. I co dalej? Mówią, że potrzeba jest matką wynalazków. I to się u nas potwierdzało. Tatuś to ziarno suszył w piekarniku i molił w młynku do kawy. Z tak powstałej, grubo zmielonej śruty Mamusia upiekła podłużne bułki. Trudno opisać, ile było radości

z tak mozolnie wypracowanego pieczywa. Jeszcze ciepłe, z wielkim apetytem zjedliśmy je naraz.

Niestety, nie dało się nazbierać znaczącej ilości kłosów, codzienne obowiązki zajmowały większą część dnia, a zbieraliśmy na majątkowym polu, bo było najbliżej. Każdy dobry rolnik stara się ścierniska jak najprędzej uprawiać. Jednak nasz mini przemysł młynarski w konspiracji mógł dalej działać, bo dostawaliśmy po dwa, trzy kilogramy ziarna od jednej albo drugiej rodziny. Tatuś te ziarna suszył i miał, a Mamusia od czasu do czasu piekła chleb. Zachowywaliśmy dużą ostrożność, mielenie odbywało się w drugim pokoju, żeby nie zobaczyła tego jakaś postronna osoba, bo narażaliśmy nie tylko siebie, ale i dawców ziarna. Handel ziarnem był przestępstwem. Niemcy nie tylko srogo karali Polaków, swoich też. Zjedliśmy koźlaczka, od czasu do czasu na obiad był królik. Wprawdzie dzielony na kilka razy, ale zupa ugotowana z dodatkiem mięsa była pożywniejsza i smaczniejsza. Czasem na niedzielny obiad było mięso duszone i każdy z nas dostawał po kawałku, jak za dawnych dobrych czasów. To był prawdziwy obiad. Na podwórku – ogródku pięknie rosły uprawiane przez Tatusia warzywa, szkoda, że w tak małej ilości. Żeby zabezpieczyć nasze potrzeby, ogród musiałby być kilkakrotnie większy. Ale, jak to mówi przysłowie: „lepszy rydz niż nic”.

Powoli zbliżała się jesień, czas płynął swoim rytmem. Do pracy wychodziliśmy później, pomimo to dokuczliwa była poranna rosa i chłód. Lasy wystroiły się w liliowo i biało kwitnące wrzosa, wysypały się grzyby. W tym roku kończyła się już praca przy wybieraniu żywicy. Zdawałoby się, że teraz będziemy mogli odpocząć, niestety jeszcze nie. Zaczęły się wykopki ziemniaków. Stasiu nadal pracował w lesie, wykonywał różne prace porządkowe. Czasem pracował u leśniczego,

rąbał drewno i robił wszystko, co w gospodarstwie pana leśniczego było do zrobienia. To był dobry człowiek, jeden z tych, którzy pomogli nam przeżyć te ciężkie dla nas czasy. Pozwalał zbierać w lesie opał, tj.: patyki, korę zeszkrobaną z drzew żywicznych i wszystko inne, co nadawało się do zbierania i miało dla nas jakąś wartość. Przy zdzieraniu kory z drzew pomagaliśmy sobie grabkami i w koszykach znosiliśmy ją w jedno miejsce. Drewno z przecinki i korę z lasu przywiózł nam wozem jeden z gospodarzy. Na podwórku mieliśmy spory stożek usypany z kory. Był to dobry opał, zwłaszcza w kuchennym piecu łatwy do rozpalenia, tu i tam pokropiony żywicą.

Wracając do kopania ziemniaków, to pamiętam, że było duże zapotrzebowanie na naszą pomoc. Czesia i ja pracowałyśmy po kilka dni u każdego z naszych znajomych rolników. Ważne było dla nas, że dostawałyśmy drugie śniadanie, obiad i podwieczorek, nie byłyśmy więc głodne. Jednak zbieranie ziemniaków za konną maszyną należy do prac ciężkich. Zbieranie w schylonej pozycji, prostowanie się, by przesunąć do przodu coraz cięższy koszyk i tak na zmianę, niby nic trudnego, a jednak nie było to łatwe. Te napętnione ziemniakami koszyki trzeba było coraz dalej i dalej odnosić do kopczyka, bo pole pracy, redlina za redliną, się oddalało. Można było częściej odnosić koszyki, ale to zabierało czas. Plecy bardzo bolały, miałam wrażenie, że pęknie mi kręgosłup. Każda para zbieraczy miała wymierzoną działkę, a my nie chciałyśmy być ostatnie, więc zbierałyśmy, ile tylko miałyśmy siły. Może byłyśmy zbyt ambitne? Było dobrze, jeżeli w grupie zbierających znalazł się jakiś maruder, wówczas maszyna musiała się zatrzymać na jakiś czas i poczekać, aż on pozbiera ziemniaki. Reszta zbierających mogła wtedy chwilę odpocząć przed następną rundą. Jednak, jeśli wszyscy

byli ambitni albo było za mało zbieraczy, to nic z tego. Z utęsknieniem czekaliśmy na przerwę w pracy, drugie śniadanie czy obiad, żeby chwilę odpocząć albo na koniec zbierania, na wieczór. Zbierałyśmy też ziemniaki u pana Hofmana, leśniczego. Zawsze czułyśmy się niezręcznie, idąc do kogoś pierwszy raz, zwłaszcza do Niemców. Podczas kolejnych dni było już nieco łatwiej, ale nadal obco. Wszyscy rozmawiali po niemiecku, ale nikt nie robił nam przykrości.

Ostatnie zbieranie ziemniaków tej jesieni szczególnie zapamiętałam. To było też u Niemców, nigdy żadne z nas u nich nie było. Słysyśmy z lekkim strachem, jak nas potraktują. Było zimno. Dwie zmarznięte, kiepsko ubrane, nieśmiałe małolaty – stanęłyśmy na podwórku. Oni właśnie jedli śniadanie, zawołali nas do stołu. Pani nalala nam na talerze gorącej, prawdziwej mlecznej zupy (nie takiej jak w domu), do tego podała chleb z powidłami. To było pyszne śniadanie, rozgrzałyśmy się i zaraz poczułyśmy się lepiej. A potem z innymi zbierałyśmy na polu ziemniaki za broną (to poprawka, drugi raz na tym samym polu). Było to łatwiejsze, bo nikt nie miał wydzielonego kawałka, który musiał zebrać.

To jeszcze nie był koniec zbierania. Blisko naszego domu znajdowało się należące do majątku duże pole po wykopkach. Z koszykiem i motyką, przegrzebując ziemię, szukaliśmy pozostawionych ziemniaków. Zawsze część zostawała w ziemi, a tutaj na nasze szczęście zostało dosyć dużo, zrobiliśmy zapas na zimę. Ziemniaki to podstawa naszego wyżywienia. Mieliśmy już wystarczający zapas dla nas i dla naszych zwierzątek. Na majątkowym polu nie byliśmy sami. Nasi sąsiedzi też skorzystali z rzadko nadarżającej się okazji. W tym miejscu należą się podziękowania panu Blencowi. Nie tylko nie miał nic przeciwko temu, że weszliśmy na pole, ale dał nam

jeszcze czas na zebranie tych resztek. Po kilku dniach pole zostało zbronowane i jego ekipa zebrała resztę. Nie tylko z ziemniakami nam się udało. Pan Blenc pozwolił nie tylko swoim ludziom wybierać dla siebie spory kawał pola z dorodną marchwią pastewną. Skorzystali nasi sąsiedzi, oni mieli króliki. My też zaopatrzyliśmy w karmę na całą zimę naszą kozę i króliki. Marchwiowe pole znajdowało się po drugiej stronie wioski, w odległości 2,5 km. Na szczęście sąsiedzi pożyczali nam swój wózek, taki ładny i praktyczny pojazd na czterech kółkach, z dyszelkiem i uchwytem do ciągnięcia. Było nam o wiele lżej przewozić towary na wózku niż nosić na plecach. Częściej korzystaliśmy z wózka niż jego właściciele. Pan Blenc dbał o swoich robotników, każda rodzina dostawała przydział ziemniaków na zimę oraz mleka w zależności od ilości osób, a kto chciał, mógł hodować krowę i świnie. Pracownicy nigdy nie pracowali w niedzielę, a wszystkie prace wykonywali na czas. Czekali na robotę, a nie odwrotnie.

Zbierałyśmy też resztki buraków na polu, które było już sprzątnięte. Znalazł się gdzieś jakiś pojedynczy burak, jak rodzynek w cieście, ale głównie zbierałyśmy ogonki i kawałki, które się odkruszyły podczas wykopów oraz zwózki i leżały nikomu niepotrzebne. Raz weszłyśmy na pole z burakami na kupkach i, między ogonkami, jeden albo dwa całe znalazły się w naszych koszykach.

Ku naszemu przerażeniu spostrzegłyśmy nadjeżdżającego na rowerze pana Blenca. Powiedziałyśmy po niemiecku: „dzień dobry”, odpowiedział i nie zatrzymując się, pojechał dalej. Najadłyśmy się strachu, to mogło skończyć się zupełnie inaczej, gdyby był innym człowiekiem. Mamusia nas ostrzegała: „tylko nie bierzcie buraków z kupek”, a jednak wzięłyśmy. Podobno najwięcej słodczy

znajduje się w ogonkach. Te buraczane ogonki, po dokładnym oskrobianiu i umyciu, dwukrotnie gotowało się w wodzie i płyn odsączało. Ten płyn po odparowaniu zamienił się w bursztynowo-brązowy, bardzo słodki syrop na dnie garnka, o gorzkawym smaku i tęgim zapachu. Na odparowanie zużywało się dużo opału. Marmolada z czerwonych buraków, po dodaniu syropu, była trochę lepsza. Czasem Mamusia upiekła piernik na żytniej mące z dodatkiem syropu, śladowej ilości margaryny, ale bez jajek. Tylko takie ciasto czasami pojawiało się w naszym menu.

U państwa Nowaków też gotowali syrop. Odbywało się to na większą skalę, w zupełnie innych warunkach i z innym efektem. Mamusia wówczas im pomagała. Rozdrobnione buraki parowali w dużym kotle, w jakiś sposób wyciskali i odparowywali. Za pomoc dostaliśmy gotowego syropu.

Zbieraliśmy także zielonki w lesie, dobre bo twarde, tylko takie lubiłam. Miękkich grzybów nie mogłam przełknąć. Skończył się wypas bydła na polu. Mieciu nie wrócił do domu, ale zmienił miejsce pobytu, był bliżej. Zatrudnili go państwo Nowakowie. Może, żeby nam pomóc? Mieciu był sprytnym i zaradnym chłopcem, a w gospodarstwie i w domu znalazły się zajęcia odpowiednie do jego wieku, np. przynoszenie drewna na opał, skrobanie buraków dla bydła i wiele innych drobniejszych posług. Latem paśł krowy i pozostał u tych ludzi do końca wojny. Wszyscy jedli posiłki w kuchni przy jednym stole. Musiał pracować, ale nie był głodny, tak jak głodna była cała reszta naszej rodziny.

Druga zima

Po bardzo pracowitym lecie nadchodziła druga zima na wygnaniu i troska, nie tylko rodziców, jak przeżyjemy nadchodzący, trudny czas. Było nieco lepiej niż przed rokiem, znaliśmy życzliwych i pomagających nam ludzi, posiadaliśmy zapas ziemniaków, kozę i kilka królików. Mieliśmy nadzieję, że wystarczy opału. Dużo też brakowało, oprócz ubrań i żywności, przede wszystkim tłuszczu. Jednak nikt się nie załamywał. Tatuś niestrudzenie suszył i molił ziarno, chrobot młynka słyhać było niemal cały dzień i co jakiś czas mieliśmy dodatkowy bocheneczek chleba. Natomiast Mamusia pracowała igłą: przyszywała łaty, gdzie zrobiła się dziura, przerabiała, cerowała, doszywała, żeby nasze ubrania były całe i jako tako wyglądały. Rośliśmy i wyrastaliśmy ze swoich ubrań. Zawsze tak było, ale zwłaszcza teraz nosiliśmy ubrania jedno po drugim. To, co kiedyś było płaszczkiem Miecia, potem stawało się moją kurtką. Na nowe nie można było liczyć. Za poskładane z nas wszystkich kartki można było kupić jakieś nowe ubranie lub kawałek kiepskiego materiału, ale po praniu zaraz się wszystko rozciągało albo rozpadało. Inaczej było z butami, należały się dwie pary na rok, na zimę pełne, a na lato sandały na drewnianej podeszwie, przecinanej raz albo dwa, tzw. klapacze. Od środka przecięcia połączone były kawałkiem skóry przybitej gwoździkami. Może w mieście, na chodnikach, można było w czymś takim pochodzić, ale na wsi, po piasku, bardzo szybko się psuły. Koło domu i po polu chodziliśmy bez butów, na bosaka. Każdorazowo trzeba było pisać wniosek do urzędu (odpowiednik gminy) z prośbą o przydział butów. Tatuś częściej składał taki wniosek i, o dziwo, zawsze była

odpowiedź pozytywna. Mieliśmy trochę szczęścia, nasz znajomy sprzed wojny pracował w sklepie z butami i to on, na miarkę z patyka, kupował nam przeważnie lepsze obuwie. Niestety, szybko się niszczyło, bo chodziliśmy w lesie po mokrej ściółce i po śniegu, a gumiaków w owych czasach nie było.

Ktoś wpadł na pomysł, żeby poprosić pana Blenca o sprzedawanie nam mleka, a on się zgodził, udało się. Kazał uiścić w biurze opłatę na początku miesiąca i od tego dnia, codziennie odbieraliśmy po dwa litry mleka. Nasza zupa znowu smakowała jak mleczna zupa. Z konieczności zmienił się czas robienia zakupów. Do tej pory bywało różnie, przed albo po południu, jak pasowało. Od tamtego dnia musiało to być po godzinie 16.30, bo o tej porze rozpoczynał się wieczorny udój, dostawaliśmy mleko prosto od krowy. Przychodzących po mleko było więcej, tylko my nie pracowaliśmy w tym majątku, a szkoda, bo oni mieli różne przywileje. Jesienią i na początku zimy, kiedy wracało się z zakupami i mlekiem, było już ciemno. Najczęściej to ja byłam zaopatrzeniowcem, a Czesia zajmowała się kuchnią: gotowaniem, sprzątaniem, zmywaniem naczyń, jak to bywa w każdym domu. Bochenek chleba, jakaś jedna czy dwie torebki z kaszą czy cukrem i marmolada w plecaku, a w ręce kanka z mlekiem – tyle sama przynosiłam. Jak było więcej zakupów, np. w sobotę dwa chleby, to szłyśmy obie. Kiedyś sklepowa pomyliła się i zamiast żytniej kaszy podała nam płatki owsiane. Następnego dnia wyzwalała nas od małp: „myślałyście, że będziecie jadły płatki owsiane”. Było nam bardzo smutno, nie byłyśmy nic winne, a spotkała nas przykrość.

Plecak, to ładnie brzmi, a to był zwykły mniejszy worek, do dolnych rogów przyszyta była mocna taśma, na środku robiło się pętlę, którą przez całą zebraną górę worka przekładało się, zaciskało i gotowe, można było

taśmo-paski założyć na ramiona i iść. Trudno byłoby policzyć, ile w sumie ciężaru przeniosłam na swoich wątych plecach.

Tatuś z uwagą śledził to, co działo się na frontach, a bywały raz lepsze, raz gorsze wiadomości. Z utęsknieniem czekaliśmy na te dla nas lepsze, kiedyś musi się ta wojna skończyć, oby jak najprędzej.

Wieczorami nasłuchiwalismy warkotu samolotów, leciały wysoko w chmurach, czasem można było zobaczyć kilkanaście błyskających światełek.

– To bombowce – tłumaczył Tatuś – lecą na zachód, pewnie na Berlin.

Niosły śmierć i zniszczenie, a i lotnicy też ginęli. Nazajutrz w gazetach można było przeczytać, jakie szkody wyrządziły bomby. Jednak do końca nie można było wierzyć i to nie tylko gazetom, wszędzie posługiwali się propagandą. Kiedy docierały do nas wiadomości, że ktoś z naszych znajomych zginął, jeżeli zdarzyło się to w obozie, to zawsze była informacja, że przyczyną śmierci był atak serca.

Pewnego wieczora zapukał do drzwi młody człowiek, odezwał się po niemiecku. Nie wiem dlaczego, ale Mamusia od razu zorientowała się, kim on jest. To był Polak – uciekinier, szukał pomocy, jedzenia, noclegu. Zjadł posiłek, odpoczął. Tatuś poradził mu, żeby poszedł do wioski do państwa Sarnowskich, oni mieli większe możliwości ukrycia go i wiedzieli, kto go przysyła. Dowiedzieliśmy się później, że przyjęli go, nakarmili, wyprali jego ubrania, pocerowali skarpety. Umył się, odpoczął dwa dni i poszedł dalej. Czy doszedł, tam gdzie chciał – tego nikt nie wie. Takich uciekających, wywiezionych do Niemiec, było więcej. Kiedyś, po nocy (było ciepło) zauważyliśmy wygnieciony ślad na sianie, jakby ktoś na nim spał. Którejś nocy Mamusia usłyszała brzęk pokrywki. Na tarasie w misce był

kawałek mięsa, a rano miska była pusta i zakryta, musiał je zabrać człowiek, bo zwierzę by miski nie zakryło. Ale nie gniewaliśmy się na biedaka.

Milcz to była najbliższa stacja kolejowa i właśnie na tej stacji zastrzelili uciekającego Polaka. Mamusia się bardzo zdenerwowała, pomyślała, że może to był nasz wujek Florek. Wszyscy Polacy bardzo przeżywali śmierć tego, nikomu nieznanego, młodego człowieka. Jak bardzo zdeterminowane były osoby, które decydowały się na taki krok? Ucieczka w tamtych warunkach zapewne niewielu się udała.

Zimowy wieczór, jeden z wielu, pola pokryte śniegiem, zimno. Siedzimy przy stole, w domu ciepło i wydaje się nam, że bezpiecznie. Tego wieczora opowiadaliśmy różne zdarzenia, które przytrafiły się każdemu z nas.

Stasiu, najstarszy z nas. Moja pamięć tam nie sięga, znam to z opowiadania. W czasie orki (już wspomniałam, że Tatuś zawsze robił to sam) Stasiu jak cień mu towarzyszył, chodził za pługiem, chodził i chodził. Zupełnie nie dbał o to, w co był ubrany, to nigdy nie miało żadnego znaczenia. Przed jego pierwszą komunią św. Rodzice zażartowali, że pójdzie w starych butach, zgodził się bez wahania. Był najsilniejszy, nieraz nam się psocił. Mieciu odgrażał się, że jak on będzie duży, a starszy brat stary, to wrzuci go na bocianie gniazdo. Każdą pracę wykonywał bardzo dokładnie i bardzo powoli.

Czesia pilnowała w domu porządku, nie tylko frędzle przy dywanie musiały być w szeregu jak wojsko na apelu. Umiała mnie włączyć do pomocy, kiedy zamiatała podłogę, ja musiałam trzymać szufelkę do śmieci, a to raniło moją godność. Wolałam sama pozamiatać i zebrać śmieci. Czesia opatrywała nasze rany: skaleczony palec, zdarte kolano. Kiedyś Mieciu

przeciął sobie kosą łydkę, rana była głęboka, krew się lała. Mamusia nie znosiła widoku krwi, zaraz robiło się jej słabo. Czesia szybko zabandażowała ranę i Tatuś zawiózł Miecia do lekarza, żeby założył szwy. Kiedy po obiedzie Mamusia odpoczywała, siostra warowała w sieni, żeby nikt z nas Mamusi nie przeszkodził. Robiła nam też różne złośliwe psikusy, a my, młodsze rodzeństwo, musieliśmy to znosić.

Mieciu – miał pięć albo sześć lat, rano biegał po łące i znalazł pieczarki. Ale jak je zabrać do domu? Mieciu zdjął spodnie, szelkami zawiązał nogawki i zadowolony z siebie, z grzybkami w spodenkach, wszedł w majtkach do pokoju pełnego gości. Zamiast spodziewanej pochwały i uznania, usłyszał głośnie: „ha ha ha”. Oj wiem, jak to boli. Smykałka do handlu objawiła się u niego już w szkole, przed wojną. Przehandlował guziki od swoich spodni i, wracając do domu, przytrzymywał je ręką, żeby mu nie spadły. Umiał o sobie zadbać. Do porannej mlecznej zupy zawsze sobie coś dobrego dołożył: cukru, powideł, smalcu, oleju, a nawet surowej mąki. Śmiały i chętny na posyłki, z głową pełną pomysłów, a każdy następny był lepszy od poprzedniego. W ogródku na zagonku powtykał gęsie pióra i myślał, że gdy z tych piór urosną gęsi, to je sprzeda i będzie miał pieniądze.

Autorka. Wracaliśmy po pracy z lasu, zadałam pytanie: „Mamusi, a może my oduczymy się jeść i nie będziemy czuli głodu?” W tamtej chwili wydawało mi się to możliwe. Mamusia przecząco pokręciła głową, zauważyłam łzy w jej oczach, a po minach rodzeństwa poznałam, że powiedziałam głupstwo.

Kazia najbardziej kochała lalki, bez względu na to, jakie by one były. A były to szmacianki, różniły się tylko kolorem i wyglądem. W ich towarzystwie zapominała o całym świecie. Lubiła też wszystkie zwierzęta, o roślinach myślała, że czują, jak się po

nich depcze. Żył w wyimaginowanym świecie, tyle pięknym, co nierealnym. Kiedyś, będąc na grzybach w lesie, Czesia powiedziała do Kazi: „idź tam”. Ta poszła i zatrzymała się w zielsku i pajęczynach. Od niemowlaka była od nas słabsza i częściej chorowała, dlatego była pod specjalną ochroną, na ile było to możliwe w tamtym czasie.

Olek był najmłodszy z nas, z tego względu należała się jemu specjalna troska i opieka, a ja byłam do tego zobowiązana. Był urodziwym chłopcem, miał jasne, kręcone włosy i niebieskie oczy. W czerwonym płaszczku wyglądał uroczo. Obcy myśleli, że jest dziewczynką. Kiedyś, przed wysiedleniem, Olek siedział na podłodze z lalką i wytrwale podnosił jej rączkę do góry ze słowami: „hitaj, hitaj”, co miało, w tłumaczeniu na język dorosłych, znaczyć: „Heil Hitler”. Nie było to nic niezwykłego, ale akurat siedział przy stole Helmut Otto. Nie zwrócił na to uwagi, a Mamusia podeszła i zabrała Olkowi lalkę.

Często bawił się z Kazią albo sam jakimś papierkiem czy sznurkiem. Na nogach miał drewniaki po starszych, w jednym czubek się popsuł i stopa uciekała do przodu. Wiadomo, że nie można było w tym chodzić. Olek znalazł na to radę, gwoździkami przybił na płasko wydarte miejsce. Pozbył się dziury, tylko teraz stopa nie chciała się zmieścić. Trudno, ale drewniak był naprawiony.

Minęły kolejne święta Bożego Narodzenia

Nowy, 1943 rok rozpoczął odliczanie kolejnych dni. Na gorącą kawę zbożową przychodzili nasi znajomi pracujący na szosie. Jak zwykle rozmowy dotyczyły bieżących spraw i tego, co się działo na frontach. Tak bardzo wszyscy pragnęliśmy końca wojny, jednak staraliśmy się żyć normalnie, z nadzieją że dotrzymy.

Stryjostwo z Budzynia zaprosili Czesię i mnie na tygodniowy pobyt do siebie, do Budzynia. Nadszedł oczekiwany dzień naszego wyjazdu. Do Chodzieży dojeżdżamy z wozakiem, a dalej na własnych nogach musimy pokonać trzynaście km, prawie całą drogę przez las. Najlepiej byłoby wsiąść do pociągu i po dwudziestu minutach wysiąść na właściwej stacji. Niestety, trzeba mieć pozwolenie z odpowiedniego urzędu, żeby wykupić bilet i koniecznie wejść do ostatniego wagonu z napisem: „tylko dla Polaków”. Co tam zima, śnieg i mróz, pełne zapału i wiary we własne siły, idziemy na piechotę. Pierwsze kilometry różnym krokiem, im dalej, tym gorzej. Od śniadania minęło kilka godzin. Jesteśmy coraz bardziej zmęczone i zaczyna nam brakować sił. Żebyśmy mogły usiąść i chociaż chwilę odpocząć. Niestety, szosa oblodzona, na poboczach warstwa śniegu. Zdawało się nam, że za chwilę, za najbliższym zakrętem już będzie tablica z napisem Budzyń. Wkrótce ujrzaliśmy tablicę z napisem, ale do Budzynia nadal były cztery kilometry. Oj niedobrze, jeszcze tak daleko, jednak Opatrzność nad nami czuwała! Z bocznej drogi wyjechał na szosę wóz załadowany drewnem, tzw. dłużycą. Powożący pojazdem mężczyzna (Polak) zainteresował się nami,

wypytał dokąd i do kogo idziemy. Wsadził nas po kolei na wóz, okrył nogi kocem i pojechaliśmy. Wóz na żelaznych kołach toczył się powoli, niewiele prędzej od naszego marszu, ale nie szłyśmy na własnych nogach. Sprawdziło się przysłowie: „lepiej źle jechać niż dobrze iść”. Szczęśliwie dotarliśmy do celu. Krewni byli serdeczni i gościnni, zwłaszcza kochana ciocia Regina starała się, żeby nam było dobrze. Mieszkali na swoim, ale zepchnięci do jednego pokoju, warunki mieszkaniowe były jak u większości polskich rodzin, bez względu na liczebność rodziny. Była jeszcze mała kuchnia, w której mieściła się jedna osoba i maciupenka sień. Przed domem pompa, dobrze, bo po wodę blisko. Całą resztą tj. mieszkaniem, dużym ogrodem (stryj był ogrodnikiem), polem, inwentarzem dysponowali Niemcy, nowi właściciele (tak im się zdawało). Stryja Piotra (życzył sobie, żeby tak się do niego zwracać) i cioci Reginy nie zmuszano do pracy, byli w domu. Pieniądze na utrzymanie zarabiali kuzyni. Irka pracowała u Niemca, oddalonego około 2 km, czasami wieczorem odwiedzała rodziców. Tadeusz miał zajęcie blisko domu, szedł rano do pracy i wieczorem wracał. Pomimo skromnych warunków znalazło się miejsce i dla nas, ja spałam w jednym łóżku z ciocią, a Czesia na przystawce. Były to dla nas prawdziwe, dobre wakacje, nie musiałyśmy się niczym zajmować i miło spędziłyśmy te kilka dni z rodziną, niestety mniej z kuzynami, zwłaszcza z Irką. Bliskość Brzezińca sprawiała, że czułyśmy się jak w przedsionku naszego prawdziwego domu.

Dwa domy dalej mieszkała moja koleżanka Ola, odwiedzałam ją codziennie, a jej mama częstowała mnie obiadem. Ojciec Oli był rzeźnikiem, mieli nieduże gospodarstwo, krowę (mleko częściowo musieli odstawiać do mleczarni), hodowali też trochę drobiu. Ola ani jej rodzice nie mieli takich problemów

z wyżywieniem, z jakimi my musieliśmy się borykać każdego dnia.

Wszystko, co dobre szybko się kończy, wracamy do domu tą samą drogą, ale nie na własnych nogach. Okryte kocami jedziemy ze znajomymi stryja i ciotci, którzy jechali do Chodzieży i zabrali nas na swoją furmankę. Chętnie wracamy, bo już stęskniłyśmy się za swoimi. Podejmujemy swoje codzienne obowiązki, jakie przypadają każdej z nas.

Przypominam sobie śp. stryja Piotra, o którym wiem nie tyle ze swoich wspomnień, co z posiadanych dokumentów archiwalnych z własnoręcznie przez niego napisanym życiorysem. Po dwuletniej służbie w pruskim wojsku wyjechał za pracą do Berlina. Przez kilka lat pracował w miejskich ogrodach w Berlinie. Zaraz też wstąpił do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i był jego czynnym uczestnikiem. W międzyczasie założył cztery tajne szkoły dla dzieci uchodźców polskich. W swoim życiorysie pisze: „Wieczorami po pracy uczyłem dzieci śpiewu, czytania, pisania i historii polskiej, przez co uratowałem niejedno dziecko od wynarodowienia. Ponieważ ich liczba stale się powiększała i nie mogłem podolać pracy, do pomocy dobrałem sobie kilkoro druhów i druhen. Przez częste lekcje wyszkoliłem siły pomocnicze, które pomimo szykan policji, wiernie mi pomagały.” Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej, powołany pod broń, przebywał cały czas na froncie zachodnim. Wrócił do domu pod koniec grudnia 1918 r.

Na odpoczynek po trudach wojny nie było czasu, już piątego stycznia 1919 r. przyłączył się do rogozińskiego oddziału powstańców wielkopolskich, który oswobodził Budzyń. Tu miejscowi strzelcy wyborowi, robiąc zasadzkę, uszkodzili i przejeździł niemiecki samochód pancerny. Po niewielkiej naprawie, dobrze im

służył. Już za trzy dni brał udział w krwawych walkach pod Chodzieżą, potem pod Podstolicami i Radwankami. W sierpniu 1919 r. wyruszył na front litewsko-białoruski. Walczył pod: Mińskiem, Osipowiczami, Bobrujskiem. Powrócił do domu w czerwcu 1920 r. Miesiąc później na odezwę: „Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie” ochotniczo pełnił służbę nad śląską granicą, jako strażnik graniczny. Na hasło: „Ojczyzna jest w potrzebie” dał swoje pieniądze, jako pożyczkę. Za udział w walkach wyzwolenczych, oprócz awansów wojskowych, otrzymał medal „Polska Swemu Obrońcy”. Przeżył 75 lat, spoczywa na cmentarzu w Budzynie, w sąsiedztwie swoich kolegów, pochowanych w zbiorowej mogile powstańców wielkopolskich.

Pojawił się nowy problem

Rozsypał się drugi z kolei młynek do mielenia ziarna. I co teraz? Nowego nie można kupić, bo nie ma w sklepach. O te dwa, które już się popsuły, postarał się pan Jopp. Nie pamiętam, kto wpadł na śmiały i bardzo ryzykowny pomysł, aby spróbować zanieść ziarno do wiatraka. Właścicielem wiatraka był Niemiec. Krążyły poufne pogłoski, że ten pan młynarz nie przestrzegał przepisów. Jak któryś z rolników przywiózł więcej ziarna na mąkę, to zmielił. Ale to byli Niemcy, wszyscy od dawna znajomi i sąsiedzi. A my, nie tylko obcy, to jeszcze Polacy. Było się nad czym zastanawiać: ryzykować czy nie ryzykować? Jeżeli nie, to co dalej? Czy jest jeszcze jakieś inne wyjście? Nie było dobrego

rozwiązania, a chleba brakowało każdego dnia. Jak wspominałam, Stasiu pracował w lesie, obcinał gałęzie na wyrębie, wychodził rano, kiedy było jeszcze ciemno, wracał o zmroku i dla niego musiał być chleb. Zabierał chleb na dwa posiłki.

Idę szosą w stronę Ujścia do wiatraka oddalonego o 4 km, niosę w plecaku może ze 2 kg żyta. W kieszeni kartka z prośbą o zmielenie ziarna, napisana przez Tatusia po niemiecku. Przed wyjściem z domu kilka dobrych rad, co mam powiedzieć na wypadek, gdyby mnie ktoś zatrzymał i sprawdził, co niosę w plecaku: ziarno pochodzi z kłosów zebranych na polu, a do wiatraka idę pierwszy raz. W takich trudnych chwilach Mamusia zawsze brała do ręki różaniec. Dla mnie do tej pory było to najtrudniejsze zadanie, pewnie dlatego zapamiętałam wszystko ze szczegółami. Chcę być odważna, ale zdaję sobie sprawę z zagrożenia. Szosą jeżdżą różni ludzie, przeważnie Niemcy, często policjanci. Może nikt nie zwróci uwagi na taką niespełna dziesięcioletnią, niepozorną chudzinę idącą poboczem drogi? A co będzie już na miejscu, jak rozpoznam właściwą osobę, której mam wręczyć kartkę? Co powie nieznany mi pan młynarz? Od tego zależy bardzo wiele albo i wszystko. Minął czas na rozmyślanie, jestem przed wiatrakiem i nie wiem, co dalej zrobić?

Na podjeździe stoją wozy, jedni znoszą z wozu worki z ziarnem, inni wynoszą z wiatraka worki z mąką czy śrutą i układają na wozie. Trwało to jakiś czas, chodzę tam i powrotem, oglądam wiatrak. Interesanci odjechali, pozostali mężczyźni – Polacy (rozmawiali po polsku), jeden z nich zapytał mnie, czy ja czegoś chcę. Tak – podałam mu kartkę. On tę kartkę zaniósł w głąb wiatraka, a ja czekałam w wielkim napięciu. Nie trwało długo, wrócił, odebrał ode mnie plecak z ziarnem mówiąc: „Musisz poczekać aż zrobimy z tego

mąkę. A teraz idź do góry po schodkach, szef czeka”. Zobaczyłam starszego pana młynarza o spokojnej, dobroduszej twarzy z długimi wąsami i fajką w ustach. Był takim zwyczajnym – nadzwyczajnym człowiekiem. Pytał mnie o rodzinę – ilu nas jest, skąd jesteśmy, o nasze gospodarstwo – ile mórg mamy, ile mieliśmy krów, koni i kto teraz tam gospodaruje. On pytał po niemiecku, ja odpowiadałam po polsku i się rozumieliśmy. Na ścianach wisiały naklejone afisze, oczywiście w języku niemieckim, całości nie umiałam przeczytać, ale co kawałek powtarzała się groźba – obóz koncentracyjny albo kara śmierci. Za co? Nietrudno się domyślić. Wracałam do domu radosna, jakbym miała skrzydła. W plecaku, w płóciennym woreczku niosłam prawdziwą mąkę. Na tę okoliczność, jakby ktoś chciał sprawdzić, co niosę, miałam odpowiedź: wycięte kartki na mąkę i kupiłam ją w Ujściu. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło, bo moje kłamstwo było łatwe do zweryfikowania. Wszyscy w domu z wielkim niepokojem czekali na mój powrót i pomyślne zakończenie wyprawy. Droga została przetarta, drugi i następny raz będzie łatwiej, już poznałam pracujących tam mężczyzn i samego pana Młynarza. Ponieważ nie poznałam jego nazwiska, pan Młynarz przyjął za nazwisko. Trudno mi powiedzieć, jak często chodziłam do wiatraka po mąkę, mogło to być co dwa, trzy tygodnie.

Pewnego dnia wybrałyśmy się z Czesią do wiatraka, na sankach posadziłyśmy Kazię, a pod kocykiem w woreczku trochę więcej ziarna niż zwykle. Wyglądało to na zabawę, jednak dla nas to nie była tylko zabawa.

Któryś z kolei raz wracałam z mąką do domu, w pewnej chwili wyprzedził mnie, jadący na rowerze, policjant i zatrzymał się tuż przede mną. No to wpadłam, przemknęło mi przez głowę. W tej chwili nogi się pode mną uginały i czułam wszystkie włosy na głowie, każdy

włos osobno. Policjant poprawiał coś przy rowerze, mijając go powiedziałam po niemiecku: „dzień dobry”, odpowiedział i na szczęście nie zwrócił na mnie uwagi. Innym razem też miałam dość przykrą sytuację, szłam wtedy z ziarnem do wiatraka, a na polu pracował pan Mula.

- Dokąd idziesz? – zapytał.
- Do Ujścia – odpowiedziałam.
- Ja wiem, że idziesz do wiatraka.
- Idę do Ujścia – odparłam.
- Jak będziesz wracała, to sprawdzę, co niesiesz.

Wracając, chowałam się za drzewami, żeby mnie nie dostrzegł i czekałam, aż oddalił się od szosy. Wtedy spokojnie przeszłam koło jego pola. W domu zawsze z wielkim niepokojem czekano na mój powrót.

Tego dnia szliśmy z Cesią do Chodzieży z sankami. Pewnie miałyśmy na sankach coś przywieźć. Nadrodzепojawił się wóz z długimi tyczkami, a powożący mężczyzna szedł z boku. Zaczepiliśmy sznurek o coś wystającego i sanna gotowa, część drogi przebyłyśmy, jadąc na sankach. Powożący zaczął nas wypytywać o różne sprawy: kto do nas wieczorem przychodzi, o czym rozmawiamy itp. pytania. Byłyśmy czujne, nie powiedziałyśmy nic, co by mogło nas obciążyć. Poczęstował nas cukierkami, ale nie wzięłyśmy, pomimo że od dawna nie jadłyśmy cukierków. Zauważył, że niczego z nas nie wyciągnie, przestał zadawać pytania i się rozstaliśmy.

Powoli kończyła się zima, a wraz z nastaniem wiosny rozpoczynały się prace w lesie i u rolników. Powtórka z poprzedniego roku, z małymi zmianami. Wczesnoranne wstawanie i codzienne chodzenie do pracy w lesie, do żywicy. W tym roku miałam łopatkę, równo z innymi samodzielnie wybierałam żywicę, na jednym kawałku z Mamusią, żeby nie błądziła. Oprócz

zajęć domowych dochodziła uprawa naszego mini ogródka, przynoszenie na plecach drewna, codzienne chodzenie po mleko i zakupy, dostarczanie karmy dla naszych zwierzątek – obowiązki pracownicy wypełniały każdy dzień. Na zabawę z chłopcami z sąsiedztwa było mało czasu albo wcale.

Dużo radości sprawiło pojawienie się małego koźlaczka, nikt z nas nie spodziewał się, że to będzie nadzwyczajna kózka, ale o tym potem. Było to małe, białe, radosne zwierzątko, chętne do zabawy. Kazia i Olek całe godziny spędzali w jej towarzystwie, w trójkę bawili się znakomicie. Nazywała się Munia, śmieszna nazwa, ale nikt lepszego imienia dla niej nie wymyślił. Kózka szybko rosła i nabierała sił.

Czas płynął, mijał tydzień za tygodniem, w lesie już dojrzewały poziomki i czarne jagody. Tego dnia, zamiast do żywicy, z Kazią wybrałyśmy się do lasu nazbierać owoców. Droga do celu wiodła brzegiem Nietuszkowa i dalej jeszcze może z kilometr był las, a w nim, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się jagodowe krzewinki.

Po drodze zaszłyśmy do państwa Nowaków, ja poprosiłam o kawałek chleba, informując, że idziemy na jagody. Pani Nowakowa bez słowa ukroiła dwie pajdy, posmarowała, zawinęła w papier i nam podała. Dziękując, cieszyłam się, że mamy posiłek, równocześnie czułam ból upokorzenia, jakiego do tej pory nie doznałam i długo go pamiętałam. Jakoś byśmy się bez tego chleba obyły. Przez chwilę pomyślałam, że oddam ten chleb, ale Kazia była taka uradowana, że nie mogłam jej tego zrobić. Dłużej niż zwykle zbierałyśmy jagody i znacznie opóźnił się nasz powrót. W domu zaczęli się martwić, dlaczego tak długo nie wracamy.

Pocztą pantoflową rozeszła się wieść, że w najbliższą niedzielę w godzinach przedpołudniowych

do Morzewa przyjedzie ksiądz i odprawi mszę św. Takiej okazji nie można zmarnować. Do Morzewa, bagatela, około 10 kilometrów. Jedyna możliwość to pokonać tę odległość na własnych nogach, co tam, jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Poszli wczesnym rankiem: Mamusia, Czesia, Stasiu i Mieciu. Gdy się obudziłam, byli już w drodze. To był środek lata, bardzo upalny dzień. Zabrali z sobą kankę z kawą, skibki chleba i cukier do posypania. Na miejscu zgromadziło się bardzo dużo ludzi, czekali. Nagle podano informację, że przyjazd księdza został odwołany. Nawet drzwi do kościoła nie otworzyli. Nasi władcy i ciemężyciele zakpili sobie z Polaków – katolików. Zebranych tam ludzi ogarnął wielki smutek i rozczarowanie. Do domu nasi wrócili późnym popołudniem: zakurzeni, z butami w ręce i bardzo zmęczeni.

Uszyliśmy naszej kozuni z czerwonego materiału uszy, nad czołem grzywkę i wiązaliśmy kokardę pod brodą, a raczej na granicy łebka i szyi. Tak wystrojona wyglądała uroczo i elegancko. To był jej strój wyjściowy, kiedy zabieraliśmy ją na pole. Ona sobie biegała i najadała się tego, co jej smakowało. A my w tym czasie zbieraliśmy w ziemniakach jadalne chwasty i zrywaliśmy trawę dla kozy – mamy i królików. Kładliśmy to wszystko na wózek i z zapasami wracaliśmy do domu. Munia pomagała nam ten wózek ciągnąć, bardzo się starała, zmęczona i zasapana po pracy odpoczywała. Chyba była to jedyna koza służąca jako siła pociągowa. Byliśmy z niej dumni. Biało-czerwona kózka, bez żadnej plamki – kojarzyło się to z kolorem polskiej flagi, mogło wyglądać na prowokację. Obcy oglądali się na nas, uśmiechali, jednak nikt się nie przyczepił.

Kiedyś w ziemniaczanych redlinkach, któreś z nas znalazło małego zajączka. Zabraný do domu

szaraczek, z braku innego lokum, zamieszkał w nakrytej beczce. Mówiono, że zajęczków nie można chować w zamknięciu, jednak nasz rósł i może nawet czuł się dobrze?

Zła wiadomość: pana Blenca powołano na wojnę, wyjechał. Na jego miejsce przyszedł ktoś inny i od razu wszyscy to odczuli, my też. Nakrzyczał na nas, kiedy przechodziliśmy przez majątkowe pole, przez puste ściernisko. Mowy nie było, żeby cokolwiek na polu zbierać. A co będzie z mlekiem, czy to mleko nadal dostaniemy? Chyba o tym nawet nie wiedział, płaciliśmy w biurze i tak zostało. Orali pole koło naszego domu, on tam był i pilnował oraczy. Pługi zgrzytały o fundamenty domu, dotąd nigdy nie orali tak blisko ścian. Jego robotnicy musieli pracować prawie w każdą niedzielę, pomimo tego nie mogli z robotą zdążyć na czas.

Zaledwie skończyła się praca w lesie przy żywicy, przyszło wezwanie z urzędu pracy na Czesi imię. Miała się stawić w określonym dniu i godzinie w/w urzędzie. Na pewno nic dobrego nie kryło się za tym wezwaniem. Przecucie nas nie myliło, otrzymała, jak dorośli, książeczkę pracy tzw. Arbeitz Buch i skierowanie do pracy w fabryce cygar w Chodzieży, mieszczącej się w pewnym oddaleniu od miasta. Od tego dnia, trzynastoletnia siostra codziennie o siódmej rano musiała być na przystanku autobusowym, oddalonym o półtora kilometra od domu. Droga do przystanku w połowie prowadziła przez las. W Chodzieży biegiem, żeby się nie spóźnić do pracy w fabryce. Po pracy biegiem, żeby zdążyć na autobus powrotny. Koło naszego domku autobus przejeżdżał o godzinie osiemnastej. Z przystanku Czesia szła jeszcze 15-20 minut piechotą. W fabryce pracowały polskie dzieci i kilka osób dorosłych. Na halach zapachy i opary tytoniu oraz dużo kurzu, to nie było zdrowe powietrze, zwłaszcza dla nieletnich dzieci. Jedną

z osób pilnujących był „przefarbowany” Polak z pejczem w ręce, wyżywający się szczególnie na chłopcach, jeżeli mu któryś podpadł. Czesia maszynowo zwijała cienkie cygara, cała sztuka polegała na odpowiednim położeniu tytoniu i owinięciu bibułką. Dzienna norma to dwa tysiące sztuk. Inni robili grube cygara, ręcznie zawijali tytoń w liście tabaki. Część pracujących układała cygara w pudełkach, gotowe wyroby były wysyłane dla walczącej armii.

Przypadek sprawił, że w naszym domu pojawiły się kurczaczki. Kura u państwa Nowaków w jakimś dyskretnym miejscu naznosiła jajek, wysiadywała je i po jakimś czasie dumna, ujawniła się z gromadką piskląt, kolorowych malutkich puszków. Pora nieodpowiednia, koniec września i co z nimi zrobić, tylko kłopot.

– A może byście je wzięli? Wzięliśmy.

– Oby wam się chociaż połowa wychowała – życzyła pani Nowakowa, dając kwokę z dwunastoma pisklętami. Musieliśmy jedzeniem podzielić się z kurczaczkami, na początku mieszkały z nami w pokoju, a potem w komórce. Pod troskliwą opieką Mamusi bardzo ładnie rosły i tylko jeden z nich zginął w wypadku, nadeptnięty przez jedno z maluchów. Były łyzy i żal, a kurczaczka w kartoniku zakopano w ogródku. Nadzieja, że za kilka miesięcy będą jajka była realna, nawet wcześniej, bo kwoka-mama zносиła jajko prawie codziennie.

Niestety zachorowała Mamusia, zaczęło się bólem gardła, płukanie słoną wodą zwykle pomagało, tym razem nie pomogło. Gardło coraz bardziej bolało, pojawiły się trudności przy połykaniu, do tego podwyższona temperatura i złe samopoczucie. Do lekarza nie była w stanie pojechać, a lekarz do Polaka nie przyjechał. Poszłam z kartką do pani hrabiny prosić o radę i pomoc. Ona była po przeszkoleniu PCK i pomagała chorym.

Przyjechała powózką, jej rozpoznanie: zapalenie gardła. Poleciała płukanie gardła, smarowanie z zewnątrz maścią i owinięcie szalem. Usypała trochę ziaren kawy na poratowanie serca. Miała dobre chęci, ale to wszystko, co mogła zrobić. Zamiast spodziewanej poprawy, było gorzej i gorzej. Przyjechała raz jeszcze, zalecenia takie same, dodała jakieś kropelki na wzmocnienie serca.

Z dnia na dzień było coraz gorzej, Mamusia nie mogła połykać, krztusiła się i dusiła, a my staliśmy przy łóżku bezradni. Zrobilibyśmy wszystko, co tylko możliwe, a nie mogliśmy pomóc. W pewnej chwili, podczas krztuszenia się, zaczęła wyrzucać z gardła krew z ropą. To było wyczerpujące, a Mamusia umęczona, ledwo uszła z życiem. Owijanie gardła, ciepło, przyspieszyło dojrzewanie ropnia, który z czasem sam pękł. Powinien być szpital i chirurgiczne potraktowanie wrzodu. Pozostały oplakane skutki, choroba serca – arytmia. Częste ataki objawiały się bardzo szybkim, przerywanym tętnem i głośnymi uderzeniami serca. Zwłaszcza, gdy się zdenerwowała albo ciężko pracowała.

Tajesień była dla mnie trudniejsza od poprzednich. Zostałam nie tylko jedynym zaopatrzeniowcem, ale w domu też było dla mnie więcej pracy, zwłaszcza w kuchni. Sama też chodziłam na wykopki do naszych znajomych i nieznajomych rolników. Tam bywało różnie, zbierałam ziemniaki jako druga w parze i chociaż bardzo się starałam, to często byłyśmy ostatnie. Cierpiałam z dwóch powodów: że ostatnie i że to moja wina. Kiedyś Kazia miała później przyjść na pole i mi pomóc. Czekałam i wyglądałam z nadzieją, jednak nie przyszła. Dlaczego? W domu dowiedziałam się, że szła szosą z koszyczkiem w ręce i weszła pod koła jakiejś kobiecie jadącej na rowerze. Ta się zatrzymała, podniosła ją z ziemi, otrzepała z kurzu. Kazia z płaczem i zdartymi kolanami wróciła do domu. Innego dnia Stasiu, zamiast pracować

w lesie, miał zbierać ziemniaki u leśniczego – pana Hofmana, ja też miałam tam być. Z jego dokładnością i spokojem od razu zostaliśmy na szarym końcu. Bratu to nie przeszkadzało, a dla mnie było przykre. Zbieranie ziemniaków mi nie zaszkodziło, natomiast odnoszenie ciężkich koszyków mogło. Dlatego Mamusia przykazała bratu, żeby odnosił moje koszyki, czasem odniósł, ale ja na to nie czekałam, tak było szybciej.

Czesi też było znacznie gorzej, chociażby ranne wstawanie, codzienne dojazdy. Rano jeszcze ciemno, wieczorem już ciemno, a przystanek autobusowy w głębokim lesie. Przeważnie nikogo tam nie było, bała się. Tatuś napisał na kartce prośbę do kierowcy, że jeżeli nikt nie wysiada na przystanku, żeby zatrzymał się koło naszego domku. Niestety, kierowca kartę przeczytał, ale nadal zatrzymywał się na przystanku, za chwilę mijając nasz domek. W większości autobusem do Chodzieży dojeżdżała młodzież szkolna z tornistrami, teczkami, rozbawiona, rozgadana, jak to młodzież. Trzeba przyznać, że nigdy Czesi nie dokuczali, ale zwyczajnie nie zauważali. Czesia im zazdrościła, czuła się gorsza, ona miała zupełnie inne problemy. Jej marzeniem było znaleźć spinkę do włosów i chociaż jednego cukierka. W fabryce bardzo się starała, żeby dobrze wykonać pracę, wyrobić normę i nie narazić się pilnowaczowi. Czasem narażała się, zabierając dla pana Młynarza trochę tabaki i listki tytoniu ukryte w ubraniu. Lepiej nie myśleć, co by było gdyby? Jedynie on dostawał po trzy cygara, własnoręcznie wykonane w domu przez Czesię, jako podziękowanie za zmielenie ziarna. Chodząc do wiatraka, wręczałam mu cygara. Odbierał, dziękował, z lubością je wachał i chował do kieszeni. Zawsze był uprzejmy, rozmawiał, zadając mi różne pytania.

Przestały przychodzić listy od wujka Florka, to bardzo zaniepokoiło całą rodzinę. Jedyną osobą, która

mogła sprawdzić, co się z nim dzieje, był wujek Słota. Oni też już nie mieszkali na swoim, zostali wywiezieni do Austrii. Pojechał na miejsce, czy napisał do znajomych? Trudno mi powiedzieć, w jaki sposób zdobył informacje i od kogo. To, że wujek miał się bardzo źle i był dręczony psychicznie, wiedzieliśmy z listów. Szalę przeważało bicie, którego już nie wytrzymał i oddał napastnikowi. Po tym incydencie został zabrany przez gestapo i wywieziony w niewiadomym kierunku. Co zrobili z naszym kochanym wujkiem Florkiem, czy jeszcze żyje? Po trzech miesiącach niepokoju i oczekiwania napisał do siostry – cioci Maryni w Gorzycach (wioska, z której pochodził) krótki i jedyny list z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu.

– Będziemy mu co tydzień wysyłać paczkę – zdecydowała Mamusia.

Zaniosiłam paczkę na pocztę w Nietuszkowie, a w paczce bochenek chleba, w części wydrażony i wypełniony stopioną z cebulą margaryną oraz trochę cukru. Kiedy wysłałam trzecią z kolei, kobieta na pocztce powiedziała do mnie: „o, dzisiaj wy dostaliście paczkę”. Od razu ją poznałam i domyśliłam się, co się stało. Szłam bardzo powoli do domu, żeby odwlec wczasie tę straszną wiadomość. Napaczczenapisane było po niemiecku: „Nie żyje.” Wszystkim nam było smutno i przykro, ale najbardziej było żal Mamusi, nie mogła się uspokoić i długo płakała. Łączyły ją szczególne więzy z wujkiem Florkiem. Bardzo wcześnie umarła ich mama, a nasza babcia Elżbieta. Wujek miał wówczas trzy lata, więc starsza, 15-letnia siostra (nasza Mamusia) zajęła się jego wychowaniem. Traktował ją jak swoją mamę.

Wieczór, wszyscy byliśmy w domu, na zewnątrz zadymka czy zawieja (jak kto woli to nazwać) i mróz. U drzwi wejściowych jakby ktoś poruszył klamką. Nie,

to niemożliwe, w taką pogodę? Klamka poruszyła się jeszcze raz. Za drzwiami stała ośnieżona, wyglądająca jak bałwan, kobiecina. Nie musiała nic mówić, od razu było wiadomo, kim ona jest. Tak, uciekła z robót z Niemiec i zmierzała do domu, do Białegostoku. Przeziębiona, mocno kaszląca, szukała pomocy, noclegu, jedzenia. Czy można odmówić pomocy tak potrzebującej osobie? W takiej chwili nie myśli się o zagrożeniu i o tym, co mogło nas spotkać. A zdarzały się prowokacje i marny los spotykał pomagających, płacili najwyższą cenę: życie całych rodzin. W ostatnim domku przed nami od strony Ujścia mieszkał pan Mula z rodziną, za nami nasi sąsiedzi, a potem prawie do samej Chodzieży las. Jednak uciekinierka nie mogła o tym wiedzieć. Przed Chodzieżą, po jednej stronie szosy było kilka domków i przystanek autobusowy o nazwie Kierzkowice. Opatrzność Boża nad nią czuwała, bo dobrze wybrała, a i nad nami też, bo nie była osobą podstawioną. Pani Jadwiga Placek (tak się nazywała) była osobą szczupłą, wysoką, około czterdziestoletnią. Została u nas cały tydzień, odpoczęła, podleczyła się i zebrała siły do dalszej drogi. Następnym etapem jej wędrówki na jeden dzień mieli być nasi znajomi w Budzynie. Pani Jadwiga miała dokładne informacje, jak dojść, który to dom. Trafiła, mówiąc, że przychodzi z naszego polecenia. Niestety, oni nie przyjęli tej kobiety i mieli pretensje do Tatusia, że im kogoś przysłał. Tam urwał się ślad pani Jadwigi. Czy jej się udało?

Pomimo że na frontach zmieniły się losy, cofającymi się byli Niemcy i ich poplecznicy, to nadal w ich zachowaniu i działaniu była buta i okrucieństwo oraz pewność, że zwycięzcami będą oni. Nie uogólniam, że wszyscy byli źli. Pamiętam, że wśród otaczających nas Niemców, w znacznej mniejszości oczywiście, też byli uczciwi i dobrzy ludzie, którzy nie tylko nam pomagali.

Któregoś wieczoru wracaliśmy z Kazią z Nietuszkowa. Była sobota i niosliśmy więcej zakupów niż zwykle, dwa bochenki chleba w plecaku, jakieś torebki z mąką czy kaszą i kankę z mlekiem w ręce. Sypał gęsty śnieg i wiało prosto w twarz, przez zawieję nie można było podnieść głowy. Brnęliśmy w śniegu i starałyśmy się trzymać drogi, bo ślady zawiało i były niewidoczne. W pewnym miejscu trzeba skręcić w lewo i przez pole podejść pod górkę, żeby zobaczyć dom. Ale wówczas widziałyśmy na dwa, trzy kroki przed sobą, widoczność była jak w gęstej mgle. Dobrze, że nie byłam sama. Obie płakałyśmy, szłyśmy na wycucie, będąc już na górze, dostrzegłyśmy nagle światelko, wystawioną w oknie naftową lampkę. Jaka radość i ulga, że szczęśliwie dotarliśmy do domu.

Zajaczek mieszkający w beczce miał się dobrze, pięknie wyrósł, podkarmiany ziarnem był gruby i ciężki. Mieliśmy wobec niego nieczne zamiary, miał być zjedzony w nadchodzące święta Bożego Narodzenia. Nie udało się, szarak tuż przed świętami zrobił nam przykrą niespodziankę i uciekł. A że był duży i silny, zrzucił przyciśnięte kamieniem nakrycie i zwał. Została pusta beczka i ślady na śniegu. Kilka dni kręcił się w pobliżu, ale nie dał się schwycić. Byliśmy zawiedzeni, nadzieja na dobre świąteczne obiady dosłownie poszła w las. Pewnie jemu też nie było wesoło, był przyzwyczajony do tego, że dobre jedzenie mu podawano. Odzyskał wolność, ale był zdany na siebie, był głodny. Pola i lasy zasypane grubą warstwą śniegu, a on zupełnie nieprzyzwyczajony do takich srogich warunków. Trudno, wolność kosztuje. Stasiu go widział, jak kręcił się między zabudowaniami pana Hofmana, nie miał instynktu dzikiego zwierzęcia i nie bał się ludzi. Tylko, że pan Hofman był leśniczym i miał broń.

Nadeszła wiosna

Mijała druga połowa kwietnia, ciepło na dworze i pojawiająca się zieleń cieszyła oczy i serca oraz budziła nadzieję. Może ten rok będzie dla nas łaskawszy? Niedługo powrócimy (oprócz Czesi), każdy na swoje miejsce pracy, już wiemy, co każdy z nas będzie robił. Z naszych kurczaczek wyrosły młode kury i zaczynały znosić długo oczekiwane, pierwsze jajka. Nie zjedliśmy ani jednego kogutka, były zamieniane na kury. Pani Nowakowa, jako pierwsza, za szczupłego kogutka dała piękną nioskę. Jak wspominałam, kury mieszkały w komórce z oknem zabudowanym szopką dla królików. Z konieczności na podwórko musiały wychodzić przez kuchnię, ale były dobrze wychowane, przebiegały szybko i niedużo nabrudziły. Żeby wejść z jajkiem, kurka nieśmiało zaglądała do kuchni i wiadomo było, że trzeba ją wpuścić. Za jakiś czas radosnym „ko ko ko” oznajmiała, że jajko już jest. Kilka jajek dziennie było dużą pomocą w przygotowaniu posiłków dla rodziny, czasem zamienialiśmy je na coś innego albo też dzieliliśmy się z kimś potrzebującym.

Pewnego razu miał miejsce przykry incydent. Olek z kromką chleba z jednym plasterkiem kielbasy usiadł na schodach przed domem i zjadał ze smakiem, a jedna z tych niby dobrze wychowanych kur podbiegła i porwała mu tę kanapkę. Gonił ją, ile miał siły w nogach, jednak nie miał żadnej szansy. Inne kury włączyły się w walkę o chleb i błyskawicznie go rozdziobały. Tylko plasterzek kielbasy spadł na ziemię i po umyciu nadawał się do zjedzenia. Biedny – długo płakał, był to płacz bardzo skrzywdzonego dziecka. Wcześniej, jeszcze

w Brześcińcu, coś takiego się zdarzyło, ale nie było problemu, bo zaraz dostał inną porcję.

Posłaniec przyniósł list, do tej pory nigdy tak nie było, przesyłki sami odbieraliśmy na poczcie. List z urzędu to zawsze złe wiadomości i taka właśnie była ta wiadomość. Tak zła, że zmieniła cały ustalony porządek w rodzinie. W kopercie znajdowała się książeczka pracy dla mnie (jak dla dorosłej osoby) z informacją, że od pierwszego maja mam się stawić w Nietuszkowie u rodziny o nazwisku Morowscy (Niemcy) do pasienia krów. Do tego czasu nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu. Do ukończenia jedenastego roku życia brakowało mi prawie dwa miesiące. Wszyscy byliśmy zszokowani, Mamusi po prostu opadły ręce. Nazajutrz poszła ze mną do urzędu prosić o zmianę decyzji, wyjaśniała, że jestem bardzo potrzebna w domu, że wszyscy pracują, ktoś musi robić zakupy i przynosić mleko. Urzędniczka nie chciała tego słuchać, odparła: „czy będzie leżeć w domu czy na łące, to żadna różnica”. Mamusia, wracając do domu, całą drogę płakała, a ja straciłam resztkę nadziei na pozostanie z rodziną w domu.

Służba

Nie było mi łatwo, bałam się, miałam iść do zupełnie obcych ludzi. Jak oni mnie potraktują? Od tamtej chwili miałam u nich mieszkać i paść ich krowy. Tatuś, żeby mi dodać odwagi, odprowadził mnie, chciał też porozmawiać z gospodarzami. Z małym tobołkiem w ręce, w którym były moje ubrania, stanęliśmy na progu ich domu. Na nasze spotkanie wyszła gospodyni – pani

Morowska, rozmowa odbyła się na podwórku na stojąco, nie pamiętam już jej treści. Na koniec Tatuś prosił, żeby za moje pasienie krów dali coś z żywności, ponieważ w domu są małe dzieci i trudno z kartek wyżywić rodzinę. Tatuś odszedł, nie wiem, co wtedy czuł, a ja zostałam i nie chcę pisać, co czułam.

Rodzina gospodarzy składała się z rodziców i dwóch córek – 17-letniej Anny i 14-letniej Maryhien (Maria), uczęszczającej do szkoły. Do pracy zatrudnione były trzy osoby: Celina, Franek oraz ja – do pasienia krów. Celina miała dla siebie mały pokój z łóżkiem, szafą, małym stołem i krzeselkami oraz przyborami do mycia: miską, wiadrem z wodą i drugim na zlewki (była to też jadalnia dla najemników). Cementowa podłoga dopełniała całości. Zostałam tam zakwaterowana i spałam z Celiną w jednym łóżku, na drugie łóżko nie było miejsca. Franek był miejscowy, przychodził rano, a wieczorem po pracy wracał do swojego domu.

Gospodarstwo składało się z niedużego domku (ostatniego w wiosce), budynków gospodarczych wypełnionych inwentarzem. Po środku było podwórko, gdzie stały dwie budy, przy każdej pies uwiązany na łańcuchu. Pierwszy to Amiś, wielkie ujadające psisko w białe-żółte łaty, sam jego widok wzbudzał nie tylko respekt, ale i strach. To on miał być moim pomocnikiem przy pasieniu krów. Drugi to Mórś, mały piesek białoczarny, szczekający dużo i głośno, wyglądał o wiele mniej groźnie.

Powinnam zacząć od opisywania mieszkańców domu, ale żeby ich poznać, potrzebowałam trochę czasu.

Po obiedzie Ania powiedziała, żebym zaniósła jedzenie psom: „muisz się z nimi poznać, im szybciej, tym lepiej”. Do Amisia bałam się podejść, ale Mórś, widząc miskę z jedzeniem, cieszył się i przyjaźnie

machał ogonem. Odważyłam się, podeszłam i wlałam do jego miski jedzenie. Tu powinien być koniec naszej znajomości na pierwszy dzień, ale chciałam go jeszcze pogłaskać. Kiedy ledwie go dotknęłam, skoczył i ugryzł mnie w palec. Bolało, rana była głęboka. Ania owinęła mi skaleczony palec, a blizna – pamiątka pozostała do dzisiejszego dnia. Dowiedziałam się, że psów w czasie posiłku nie należy głaskać, bo każdy ugryzie. Szkoda, że nie miałam wcześniej tej wiedzy. Nasze psy nas nie gryzły.

Następny dzień też nie był dobry z mojej winy, a raczej nieświadomości. Za stodołą, oprócz kawałka pola, rosła trawa. Na tę trawkę miałam wynieść i przypilnować małe gąski, żeby sobie poskubały. Z tamtego miejsca przed moimi oczami rozpościerał się piękny widok. Stałam na górcie, niżej ciągnęła się droga, którą znałam i często nią chodziłam, w oddali jak okiem sięgnąć szachownica pól, łąk, zabudowań, drzew, kwitnących krzewów i wijąca się płynąca Noteć. Blizutko przede mną góra nagle się kończyła się piaskowym uskokiem opadającym w dół. „To ja pobiegnę na dół” – pomyślałam. Na swoje nieszczęście mimo woli biegłam coraz szybciej i szybciej, nie mogąc się zatrzymać. Noga w kolanie wygięła się do tyłu, mocno zabolęło, żeby ratować sytuację, przewróciłam się na bok i tak się zatrzymałam. Kolano bardzo bolało, chodziłam kulejąc. Zapytana, powiedziałam, co się stało, na co gospodyni: „kto to widział, żeby taką młodą dziewczynę noga bolała?” Z upływem czasu kolano doskwierało coraz mniej, jednak do całkowitego wyleczenia, tak żebym mogła o nim zapomnieć, musiało upłynąć sporo czasu.

Nadszedł dzień wypędzenia krów na łąkę, pierwszy i drugi raz pomagali mi domownicy. Po zimie krowy spuszczone z łańcuchów z radości zachowują się nienaturalnie, a ja nie wiedziałam, gdzie jest pastwisko.

Od tego dnia codziennie, w świętek piątek i niedzielę, pilnowałam pasącego się na łące stada (około dziesięć sztuk) bydła. Dla mnie dzień rozpoczynał się o godzinie 6.30. Szybko ubierałam się i za chwilę gospodyni stawiała na stole miskę z mleczną zupą oraz chleb i marmoladę. Przywoływała też Franka na śniadanie. Któregoś dnia nie wstałam zaraz po pobudce – przysnęłam. Franek przyszedł na śniadanie, kiedy byłam jeszcze w nocnej koszuli, była to niezręczna sytuacja, nie miałam się gdzie przebrać. Po tym incydencie wstawałam natychmiast po obudzeniu. Po śniadaniu brałam przygotowaną dla mnie torbę z drugim śniadaniem (dwie kromki chleba i butelka kawy), Amisia na łańcuchu i szłam za spuszczonej już z łańcuchów krowami na pole. Ponieważ to było ostatnie gospodarstwo w wiosce, pole i pastwisko też było ostatnie. W porównaniu z innymi polskimi chłopcami – pastuszkami, zatrudnionymi u niemieckich rolników, miałam najdłuższą drogę tam i z powrotem. Znałam tę drogę, bo wcześniej tędy chodziłam do Milcza, do urzędu po kartki na żywność. Krowy też ją znały, bo wiedziały, w którym miejscu skręcić w lewo na swoje pastwisko. Od drogi ciągnął się, aż po Noteć, niezbyt szeroki pas pola w długim prostokącie, podzielonym na pola uprawne i pastwiska – ta ziemia była własnością moich gospodarzy. Powoli przyzwyczajałam się do nowego miejsca i ludzi. Ania i Maria były zwyczajnymi dziewczynami, z ich strony nie spotykały mnie żadne przykrości. Celina i Franek też zachowywali się normalnie, wszak jechaliśmy na tym samym wózku.

Gospodyni – pani Morowskiej nie umiałam jednoznacznie ocenić. Tak lekko potraktowała wypadek z moim kolanem, zawołała Franka na śniadanie w chwili, kiedy nie byłam jeszcze ubrana. Te i inne niby drobne przypadki sprawiały, że czasem było mi przykro. Z cech pozytywnych należy podkreślić, że tak samo

jak jej córki, starała się mówić do mnie po polsku i już nie byłam głodna. Na obiad wszyscy jedliśmy to samo, dobrze że osobno, czułam się dzięki temu swobodniej. Zawsze, przed wyjściem na pole, miałam przygotowaną torbę z jedzeniem, z solidną, jak dla dorosłych, porcją posmarowanego chleba i butelką kawy. Za dużo jak dla mnie, więc dokarmiałam Amisia, żeby go przekupić. Gospodarz wcale się do mnie nie odzywał, jakby mnie nie zauważał.

Amis zaakceptował mnie, ale ja nadal miałam do niego ograniczone zaufanie. Był silniejszy i miałam niejedną okazję, żeby się o tym przekonać. Pewnego razu, kiedy wracaliśmy w południe do domu, niedaleko pojawił się bocian, on ich nie lubił, wyrwał się z moich rąk i tak uparcie gonił ptaka, że straciłam go z oczu. Poszłam za krowami, myśląc, że mnie dogoni, a on wcale nie wrócił do domu. Po południu zastałam go na pastwisku, leżał i pilnował mojej pozostawionej bluzki. Ze spotkania była obustronna radość. „Pies nie pozwoli, żeby ci ktoś coś złego zrobił” powiedziała któraś z córek, co też się sprawdziło. Kiedyś szłam za krowami na pole, przy drodze była przerwa w ogrodzeniu i jedna z krów weszła za to ogrodzenie na czyjeś pole. Nie mogłam temu w żaden sposób zapobiec. Z podwórka wybiegł mężczyzna z dużym kijem w ręce, krzycząc na mnie po niemiecku. W tej chwili pies przybrał bojową, groźną postawę, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie pokazał zęby i warczał. Niemiec natychmiast zamilkł, szybko wrócił na swoje podwórko i zamknął furtkę.

Po sąsiedzku, z lewej strony, pał krowy Władek z Chodzieży, chłopiec w moim wieku. Mieciu pracował trzy działki wcześniej, za daleko żebyśmy mogli się porozumieć. Powroty z pola w południe i wieczorem wyznaczały pociągi jeżdżące na trasie Piła – Chodzież, Chodzież – Piła, które w zupełności zastępowały nam

zegarki. Powoli przyzwyczajałam się do nowej sytuacji, otaczających mnie ludzi i zwierząt.

Następne zmartwienie spadło na naszą rodzinę. Dowiedziałam się, że moja rodzina już nie mieszka w domku nad szosą, z dnia na dzień została przewieziona do wioski Kamionka. Tu czekał, w pośpiechu opuszczany, jeden pokój z piecem do gotowania, mała sień, wejście z ulicy. Mamusia zupełnie się załamała, usiadła na progu i długo płakała. Dwaj mężczyźni (Niemcy) próbowali ją uspokoić, przynieśli dwudrzwiową szafę i ustawili ją w sieni. To trochę pomogło w rozmieszczeniu tego wszystkiego, co jest w każdym domu, tym bardziej, że oprócz łóżka dla Tatusia i zastanego starego stołu, żadnych innych mebli nie było. W kuchnio-pokoju średniej wielkości musiało się pomieścić miejsce do spania na podłodze na słomie dla pięciu osób i cała reszta przedmiotów. Dla kozy, królików i kur była szopka. Nie było ani skrawka ziemi na posianie chociażby pietruszki i marchwi.

Kamionka była zwartą wsią – ani to ulica, ani rynek, w środku był staw, a wokoło domy i gospodarstwa, w których mieszkali Niemcy. Polacy, którzy tam mieszkali, przeważnie pracowali u Niemców. Nie miałam dokładnego rozeznania, bo rzadko i na krótko przychodziłam w odwiedziny. W stawie chlapały się dzieci, a kaczki i gęsi z całej wioski pływały po wodzie. Brzegi wokoło były rozdeptane przez krowy przychodzące do wodopoju. Wieczorami i po deszczu kumkanie żab przypominało Brzekiniec i nasz staw.

Lokum mojej rodziny było usytuowane w środku wioski, na wprost stawu. Wokoło nieznani, może i dobrzy ludzie, których trzeba poznać i prosić o pomoc, chociażby o pozwolenie na zbieranie trawy dla królików i kozy. Pomijając warunki mieszkaniowe, każdemu z członków rodziny było gorzej. Stasiu do pracy w lesie

pokonywał po kilka kilometrów dziennie (pięć, a może i więcej) tam i z powrotem. Kazia i Olek przynosili mleko z Nietuszkowa (około 2,5 km), większą część drogi przez las. Mleko było zbyt cenne, żeby można z niego zrezygnować. Chyba jedynym plusem było to, że na miejscu był sklep i światło elektryczne.

Mamusia chodziła do pracy na pola do gospodarzy w Nietuszkowie i Kamionce. Tylko dla Czesi niewiele się zmieniło, na przystanek autobusowy do szosy w Kierzkowicach było nieco bliżej. Czasem szła do fabryki pieczo, na skróty, kilka kilometrów połą drogą, przez las. Dużym utrudnieniem była odległość do wiatraka, nie miał kto chodzić po mąkę. Przez całe lato chyba ze dwa razy wybrała się tam Mamusia. Szła lasami, ale to też było niebezpiecznie. Poza tym nie miała na takie dalekie wyprawy czasu ani siły.

W naszych (?) domkach nad szosą zamieszkali Niemcy znad Morza Czarnego. Naszych sąsiadów – państwa Piechotów przeprowadzili do Milcza, też do jednego pokoju. Pomijając niewygodę, pan Piechota miał bardzo blisko na stację kolejową, więc codzienne dojazdy do Piły były mniej uciążliwe. Od miejsca, gdzie z głównej drogi schodziłam na pole, bardzo blisko było ich mieszkanie. Któregoś dnia wieczorem, gdy było już było w oborze, pobiegłam ich odwiedzić, powiedziałam, że mogę podzielić się chlebem. Liczyłam na to, że Waldek i Zenek czasem przyjdą do mnie na łąkę i w ich towarzystwie będzie mi weselej. Przychodzili po kolei, za zakrętem odbierali chleb, oddawałam połowę albo nawet całe drugie śniadanie. Żaden z nich nigdy na łąkę do mnie nie przyszedł, było mi trochę przykro. Trwało to jakiś czas, pies przyzwyczaił się do chłopców, lubił jak go głaskali i na życzenie podawał łapę.

Któregoś dnia, kiedy krowy zeszły z głównej drogi na pastwisko, jak zwykle zza zakrętu wybiegł

i dogonił mnie Zenek. Odebrał chleb owinięty w papier, ale jeszcze wyciągając do psa rękę, powiedział: „podaj łapę”. Pies zareagował błyskawicznie, warknął i rzucił się na Zenka, wbił zęby w jego mięso i włókł go po ziemi. Przerażona chciałam go ratować, ale oprócz przeraźliwego krzyku Zenka i mojego nic nie mogliśmy zrobić. Niespodziewane szarpnięcie wyrwało łańcuch z moich rąk. Pies, cofając się, owinał go sobie wokół nóg. Amis nie reagował na moje krzyki, nie miałam kija, nie mogłam nic zrobić. Z pobliskiego podwórka wybiegł mężczyzna z kijem, ale pies już sam zrezygnował. Zenek podniósł się z ziemi, krew lała się z jego rany, płacząc wracał do domu, jednak chleba z ręki nie wypuścił. Biedny, zbyt drogo zapłacił za dwa kawałki chleba.

Bardzo mocno przeżyłam ten wypadek, paraliżował mnie strach, co powiedzą moi gospodarze. Wiedzieli, ale nie pytali o szczegóły i nie robili mi przykrości. Dlaczego pies tak zareagował? Przypomniałam sobie, że jacyś chłopcy ukryci w bezpiecznym miejscu drażnili Amisia, on się denerwował, jeżył sierść i mruczał. Całą złość wyładował na niczemu winnym Zenku. Za mało znałam tego psa, nie mogłam przewidzieć, co się może zdarzyć. A czy ja byłam bezpieczna?

Nudno i monotonnie upływały dni na pastwisku, od rana czekałam na południe, a po południu na wieczór. Przerwa południowa była krótka, w tym czasie kazano mi paść gęsi, przynosić drewno na opał i wykonywać różne inne, drobne posługi. Zawsze wcześniej od innych pastuszków wychodziłam z krowami na pole. Opinia o pasieniu bydła, że nic się nie robi, jest błędna, nie można ich na chwilę spuścić z oczu. Krowy tylko na to czekały, żebym się zagapiła. Najpierw jedna, potem wszystkie wchodziły w szkodę: w buraki, w ziemniaki, w zboże. Wszystko inne smakowało im bardziej od trawy, której

zwykle było mało. Zawołanie: „Amiś zawróć” zwykle wystarczało, żeby krowy zawróciły. Czasem posyłałam psa, żeby je postraszył, ale on mnie nie słuchał i nie chciał przestać ich gonić.

Miłym przerwaniem były kolorowe barki i tratwy pojawiające się na Noteci, a że rzeka była wąska i kręta, flisacy musieli wychodzić na brzeg i miejscami tratwę ciągnąć.

Znowu dostałam smutne wiadomości z domu. Mamusia przy pracy dostała silnego ataku serca, przyprowadziły ją kobiety pracujące razem na polu. Serce szybko i głośno waliło jak młot. Zwykle krople i zimne okłady na serce przynosiły ulgę, tym razem to nie pomagało. Zdawało się, że Mamusia lada moment nie złapie oddechu i zakończy życie. Wezwany telefonicznie lekarz nie przyjechał. Byliśmy przerażeni, czuliśmy niemoc i bezradność. Po takim ciężkim ataku Mamusia była bardzo osłabiona i potrzebowała dłuższego czasu, by wrócić do równowagi. Nie powinna pracować, a zwłaszcza ciężko pracować. Rzeczywistość na to nie pozwalała. Żyliśmy w ciągłym zagrożeniu nowym atakiem. Trzeba wziąć pod uwagę, że Mamusia załatwiała wszystkie sprawy na zewnątrz. Lęk o przetrwanie każdego dnia i strach, co przyniesie następny dzień, nie opuszczał rodziców ani na chwilę. Czesia i Stasiu mieli ponad czternaście lat. W każdej chwili mogli się spodziewać wywózki w głąb Niemiec na roboty do fabryki czy gospodarstwa. Co jakiś czas Niemcy szykowali transporty – wielu dorosłych i dzieci wywozili w nieznane.

Żeby wykorzystać czas spędzany na łące, uczyłam się katechizmu, miałam w pamięci słowa Mamusi: „to ci się wkrótce przyda.”. Pisałam listy do cici Marysi, swojej Chrzestnej Matki, opisywałam wszystkie swoje przeżycia, dlatego ona wiedziała

o mnie więcej niż rodzice. Wysyłałam list, a czekanie na odpowiedź uczyło mnie cierpliwości, bo ciocia Marysia pracowała i nie miała czasu. Listy od niej były długie i ciepłe, ciocia przeżywała ze mną moje trudne chwile i starała się dodać mi otuchy. Każdy list był dla mnie na wagę złota, poprawiał samopoczucie, dlatego czytałam go po kilka razy.

To był upalny niedzielny dzień, czas włókł się leniwie, jakoś dotrwałam do pociągu jadącego o godzinie dwunastej i mogłam spędzić krowy z pola. Kilka minut później, będąc już na głównej drodze, usłyszałam nie tyle warkot, co ryk samolotu. Zobaczyłam go przez moment, a dokładniej, zobaczyłam skrzydła i pomyślałam: „ojej, chyba ląduje na mojej łące”. Nic więcej nie dostrzegłam, drzewa i rosnące na polu zboże przesłoniły samolot. Musiałam iść za krowami. W kilka minut opustoszały domy, z wszystkich stron ludzie na pieszo, na rowerach, powózkach, na koniach spieszyli, żeby zobaczyć to dziwko. Nietuszkowo też opustoszało, w domu nie zastałam nikogo. Chociaż nigdy tego nie robiłam, musiałam uwiązać krowy na łańcuchy. Z trudem mogłam objąć ich karki, a ich rogi były na wysokości mojej głowy. Też pobiegłam, żeby pierwszy raz z bliska zobaczyć samolot. Oprócz wielu ludzi, dostrzegłam samolot stojący w miejscu, w którym ja kilka minut wcześniej, przed zejściem z pola, siedziałam. Od Noteci, w linii prostej przez prawie całe pole była wyryta głęboka bruzda, w miejscu, gdzie wcześniej pasły się krowy. Prześladowało mnie pytanie, czy miałabym szansę umknąć przed tym samolotem? Był to mały jednoosobowy samolot. To było awaryjne lądowanie, ale pilotowi nic się nie stało. Od chwili wypadku do wieczora przewinęło się dużo ludzi, jedni przychodzili, drudzy odchodzili. Nie co dzień na łące lądują samoloty, a każdy był ciekawy. Po południu pasłam krowy w pobliżu, ale nikt nie zwracał na mnie

uwagi. Czekałam, może przyjdzie też ktoś z mojej rodziny, niestety nikt się nie pojawił, nie mieli pojęcia, co się wydarzyło. Następnego dnia samolot rozebrali na części i wywieźli.

Już od dłuższego czasu było zapowiedziane prześwietlanie płuc, które miało się odbywać następnego dnia w szkole. Pierwszego dnia Niemcy, a następnego Polacy. Rano nie poszłam z krowami na pole. W godzinach przedpołudniowych, na oznaczoną godzinę, zebrała się spora grupa ludzi, ja też byłam wśród oczekujących. Wszyscy zostali zwołani do jednej sali i musieli wysłuchać objaśnienia, jak w czasie badania oddychać. Bardzo energiczna kobieta starała się to wytłumaczyć, ale ponieważ mówiła szybko i po niemiecku, niewiele rozumiałam. Prześwietlanie odbywało się drugi albo trzeci raz, można by sądzić, że Niemcy bardzo dbali o zdrowie ludności. O zdrowie swoich rodaków na pewno tak, ale Polaków nie leczyli, nie otrzymywaliśmy wyników badań, to była wiedza dla nich. Natomiast wykrzyk u kogoś gruźlicy było wyrokiem śmierci dla całej rodziny. Panicznie bali się chorób zakaźnych, za niezawodny sposób leczenia uznali likwidację chorych. Nie było też możliwości leczenia zębów, w razie bólu były usuwane. Nasza rodzina była bardzo zagrożona, ciągłe niedożywienie i wyczerpująca praca nie mogły pozostać bez wpływu na nasze zdrowie. Oprócz Miccia wszyscy byliśmy wychudzeni, w ubraniu było to mniej widoczne, ale jak rozbieraliśmy się do mycia, Tatuś ubolewał, że wyglądamy jak dzieci w czasie głodu na Ukrainie. Kazia od zawsze była słabsza, bardziej podatna na choroby, drugim słabym ogniwem był Stasiu, miał niecałe szesnaście lat i w tak młodym wieku musiał pracować jak dorosły. Mamusię niepokoił jego kaszel. Z powodu osłabienia Czesia widziała jak przez mgłę, nie zdradziła się z tym przed nikim. W fabryce skaleczyła sobie nogę

o wystający gwóźdź. Lekarz założył szwy i zlecił zastrzyk przeciwężcowy. Na miejscu – w gabinecie można było skorzystać z porady lekarskiej. Lekarz postawił diagnozę, wypisał receptę na lekarstwa lub wykonał jakiś drobny zabieg chirurgiczny. O wyjeździe do chorego do domu czy o zwolnieniu z pracy na czas choroby, bez wysokiej temperatury, można było tylko pomarzyć.

I znowu kolejny dzień na pastwisku. Żeby się nie zanudzić, oprócz nauki katechizmu, wymyślałam sobie różne zajęcia. Ostatnio w „mojej branży” wszyscy robili sznurek z konopi. Od Miccia dostałam instrukcję, jak się do tego zabrać. Na początek trzeba mieć konopie i z wyrośniętych suchych badyli w jakiś sposób ściągnąć włókno. Dwie działki dalej na czymś polu snopki konopi stały w kopkach, ale miałam w pamięci Mamusi słowa: „ani złamanego szeląga”. Jednak pokusa była silniejsza, pobiegłam i przyniosłam jeden mały snopek, nie miałam czasu wybierać grubszych badyli, jak to robili chłopcy. Snopek leżał zamoczony kilka dni w rowie z wodą, aż w środku podgniły badyle, przecinałam je nożem wzdłuż, wtedy łatwiej było ściągać włókno. Po wyschnięciu był gotowy materiał do skręcania sznurka. Trzeba było za coś zaczepić i naprężyć, żeby można skręcać. Do tego najlepiej służył duży palec u nogi. Skręciłam kilkanaście metrów sznurka, był bardzo mocny i przydał się w domu. Następnym moim cudownym pomysłem na nudę było zrobienie skarpet ze sznurka. Po młócce, koło stodoły leżało dużo sznurka w kawałkach. Uporządkowałam je, obciąłam supły, powiązałam i zwinęłam na kłębek. W wyobraźni widziałam puszyste, białe skarpety i... jeszcze jak obdarowana osoba będzie się cieszyła. Nabrałam oczka na druty, przerobiłam kilka oczek, efekt był mniej niż mizerny, skarpet niestety nie będzie.

W każdym stadzie bydła jest hierarchia, krowy idą jedna za drugą, najpierw przewodnik i zastępca, a dalej

już bezładnie – dwie albo trzy obok siebie. Zauważyłam, że ta zawsze pierwsza, teraz z trudem szła ostatnia i to mnie zaniepokoiło. Za jakiś czas zachwiała się, upadła i została, a ja musiałam iść dalej za krowami. Gospodarz z Frankiem zrobili, co zrobili, na piaszczystej drodze została kałuża krwi zasypiana piaskiem, innych śladów nie było. Krowy nie widziały, co się stało (nie oglądają się za siebie), a jednak instynktownie czuły. Gdy zbliżały się do tego miejsca, biegły z pyskami przy ziemi i potwornie rycząc, otaczały je. Nie mogłam ich odpędzić. Coś okropnego, ciarki chodziły mi po plecach, takiego ryku ani przedtem, ani potem nigdy nie słyszałam. Ich ryk był bardziej przejmujący od wycia psów. Taka scena powtarzała się przez dłuższy czas i to nie tylko z moimi krowami, ale ze wszystkimi, które tamtędy przechodziły.

Podobno, co czwartą niedzielę należało mi się wolne, jednak nikt z gospodarzy o tym nie wspomniał, z kolei ja nie miałam odwagi o to prosić. Kiedy pytałam, czy na niedzielę mogę iść do domu, gospodyni pytała Marię, jakie ma plany na niedzielę i czy może paść krowy? Czasem miała plany i wtedy na wolną niedzielę musiałam czekać jeszcze tydzień albo dwa. Po wolnej niedzieli liczenie zaczynało się od początku.

W sobotę wieczorem dostawałam chleb na jeden posiłek i biegłam do swojej rodziny w Kamionce. Nie znałam wioski, ale od razu zauważyłam kogoś ze swoich przed domem. Radość, że jesteśmy razem, psuły myśli, że za kilka godzin muszę wracać. Zapamiętałam też, że na niedzielny obiad była jałowa kasza polana kompotem z wiśni. Za szybko mijał wolny dzień, dużo bym dała, żebym mogła zostać z rodziną i nie musiała wracać do pasienia krów. Było mi bardzo smutno.

W Kamionce też byli życzliwi gospodarze, za pomoc w pracy płacili ziemniakami czy innymi

warzywami i owocami. Tatusiowi nawiązanie kontaktów ułatwiała znajomość języka niemieckiego. Wakacje w Kamionce spędzała wówczas pewna rodzina z Austrii; nie tylko chętnie rozmawiali, ale też przyszli nas odwiedzić i zobaczyć, jak mieszkamy. Wyrazili zdziwienie i współczucie. Po jakimś czasie nadeszła od tych obcych ludzi paczka. W niej, oprócz różnych rzeczy, najważniejsza była prawdziwa lalka dla Kazi i płaszcz przeciwdeszczowy dla Czesi, tak bardzo przydatny w jej codziennym wędrowaniu pieszo do pracy i z pracy.

Trwał okres żniw. Wieści z frontu docierały przeważnie z gazet lub dyskretnie przekazywane z ust do ust. Była już nie tylko nadzieja, ale pewność, że wyzwolenie i koniec wojny powoli się zbliża.

W Warszawie wybuchło powstanie. Nie można było sobie wyobrazić tego, co się tam działo. Oprócz tego, że wszystkich mężczyzn Niemców i „przechrzczonej” Polaków, którzy się do tego nadawali, powołali pod broń do walki z (jak to określali) „polskimi bandytami”, niewiele więcej wiedzieliśmy. W Warszawie mieszkał brat Mamusi – Sylwester z rodziną i kuzynką Elą. Korespondencja została przerwana, do zmartwień dołączyła troska i niepokój o ich los.

Na gospodarstwach przy żniwach i inwentarzu pracowali polscy robotnicy i niemieckie kobiety. Było za mało ludzi, liczyła się każda para rąk. Rodzice pomagali u zyczliwych i wspierających nas gospodarzy w Nietuszkowie, ale w Kamionce też byli potrzebni. Mamusia uczestniczyła w lżejszych pracach, jeśli w ogóle bywają lżejsze prace w czasie żniw. Tatusi w stodołach układał snopki. Był też niezastąpiony na polu przy stawianiu stogów. Rolnicy to doceniali, a niektórzy przekonali się o tym już w poprzednich latach. Kazia i Olek zostawiali sami, bawili się przed domem i głodni wyglądali powrotu chociaż jednego

z rodziców. To był chyba jednorazowy przypadek, kiedy po skończonym obiedzie Tatuś poszedł do kuchni i, nie zważając na własne upokorzenie, poprosił o jedzenie dla dzieci, jeżeli coś zostało z obiadu. Sam nie miał czasu nic przygotować. Przyniósł wówczas do domu otrzymany posiłek.

Na miejscu nie zauważało się żadnej zmiany w zachowaniu Niemców, trzeba było bardzo uważać, żeby w jakiś sposób im się nie narazić. Rówieśnikom trzeba było mówić po niemiecku: „dzień dobry”, żeby nie dostać po twarzy. A i tak, bez żadnej przyczyny, popychali nas i wyzywali od „polskich bandytów” i „polskich świni”. Jakiś czas temu, gdy jeszcze nie pasłam krów, wracałam z Milcza. Z przeciwnej strony szły, wracające ze szkoły, trzy dziewczyny w moim wieku. Popchnęły mnie pod drzewo, otoczyły i zadawały pytania, których nie rozumiałam, jednocześnie szczypały i biły po twarzy. Na moje szczęście nadjechał rowerzysta i się uwolniłam. Fizycznie tak bardzo nie bolało, ale czułam się sponiewierana. To zdarzenie pozostało moją tajemnicą. Nic takiego nie mogłoby się wydarzyć, gdyby był ze mną pies. To, że jest groźny wiedzieli wszyscy i nikt nawet nie próbował mnie zaczepiać.

Na łące, oprócz nudy, dokuczliwe były upały i burze z deszczem. Burzy się nie bałam, a mokre ubranie na mnie wysychało, zwłaszcza jak zaświeciło słońce. Nie miałam parasola ani nic, co by mnie osłoniło przed deszczem. Po sąsiedzku chłopcy robili sobie maty ze słomy, trochę to zasłaniało przed opadami i wiatrem. Mieciu chciał dla mnie zrobić taką matę, ale gospodyni na moje pytanie o słomę odpowiedziała, że mają jej mało i temat został zamknięty.

Na polu po sprzątniętym łubinie leżało dużo ziarna, zbierałam je cierpliwie po jednym ziarnku dla naszych królików. Udało się zebrać kilka kilogramów.

Zadowolona z siebie zaniiosłam je do domu, a nasze króliki miały na jakiś czas treściwą paszę.

Kiedyś na urodziny Marii przyjechała jej kuzynka, biegałyśmy po podwórku, razem bawiłyśmy się w chowanego, było wesoło i miło. Dziewczyny poszły na kolację, a ja dostałam do ręki kawałek placka. Któregoś dnia, może za pomoc w zajęciach domowych, a może tak po prostu, dostałam kilka małych i bardzo smacznych jabłuszek.

Zbliżała się jesień, z pól znikły zboża, zrobiło się pustawo i przestronnie. Dla krów było więcej miejsca, pasły się też na ścierniskach. Teraz częściej spotykaliśmy się z Władkiem, nasze krowy rozdzielała miedza albo polna droga, a razem było nam rażniej i szybciej mijał czas. W pewnym oddaleniu trzej chłopcy pasący krowy weszli na drzewo i zaczęli drażnić mojego psa, krzycząc: „Amiś du du du, Amiś du du du”. Pies się złościł, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie warczał i podbiegał w ich kierunku, ale chłopcy byli bezpieczni i nieosiągalni. Taka scena powtórzyła się kilka razy. Oni przestali, pies się uspokoił, mogłoby tak zostać, ale nie zostało. Minęło trochę czasu, może godzina, kiedy zupełnie niespodziewanie Władek wypowiedział te groźne w skutkach słowa: „Amiś du du du”. Przeraziły mnie jego słowa. W tej chwili Amiś skoczył, Władek chował się za mnie, ale to nie pomogło, pies schwycił go za bok, przewrócił i z zajądłością gryzł. Władek przeraźliwie krzyczał z bólu, ja połamalam kij na grzbiecie psa, krzyczałam: „nie rusz, zostaw”, ale nie reagował. Nie mogłam schwycić łańcucha oplątanego na jego nogach, nie mogłam nic zrobić, żeby Władka ratować. Trwało to może minutę, zanim pies sam przestał, ale dla Władka i dla mnie to była wieczność. Chłopak podniósł się z ziemi i powiedział: „zobacz, co on mi zrobił”. Nie widziałam rany, ubranie ją zasłaniało. Z płynącą po nodze krwią,

placząc, Władek powolutku poszedł do domu. Nie zobaczyłam go już nigdy potem, nawet nie wiedziałam, jak on się nazywał. Zostałam na polu, przerażona w kółko zastanawiałam się, jak i dlaczego do tego doszło. Niestety, nie mogłam w żaden sposób przewidzieć tego, co się stało. Nie wiedziałam też, co Władek powiedział, jak opisał to zdarzenie. Całą moją winą było to, że siedzieliśmy na łące Władka, z metr od granicy pola. Gdyby było odwrotnie, może moi gospodarze nie mieliby takiego problemu. Nigdy wcześniej Władek nie drażnił mojego psa ani nie słyszałam z jego strony żadnych głupich zaczepek, jakie zdarzały się innym chłopcom – pastuszkom. Bałam się, strasznie się bałam: co na to powiedzą moi gospodarze, co ze mną zrobią, może wyślą do obozu? Tysiące czarnych myśli przelatywało mi przez głowę. Sama nigdy nie odważyłabym się drażnić mojego psa, dlaczego on to zrobił? Nadszedł wieczór, spędziłam z pola bydło – Władka i swoje, powoli, jak nigdy, zbliżałam się do domu. Przemknęło mi przez głowę – a może wpuścić bydło na podwórkę i uciekać do rodziców, oni nie wiedzą, co się wydarzyło? Zrezygnowałam z tego pomysłu, weszłam na podwórkę i czekałam, co będzie dalej? Gospodyni i Maria były w domu, wiedziały o wypadku, nie pamiętam, czy pytały o szczegóły. Maria powiedziała: „tata się z tobą rozmówi, powinnaś dostać bicie”. Gospodarz zjawił się nagle, rozzłoszczony długo i strasznie na mnie krzyczał, machał rękami, może lepiej, że nie rozumiałam słów. Stałam ze spuszczoną głową, czułam się jak skazaniec bez możliwości wyjaśnienia czegokolwiek. Nazajutrz Amisia już nie było, zniknął.

– Za karę będziesz sama paśła krowy – usłyszałam słowa gospodyni.

Kara była bardzo dotkliwa, krowy natychmiast to wykorzystaly i wchodziły w szkodę. Nie mogłam sobie

poradzić, z kijem w ręce wygoniłam jedną, w drugim miejscu wchodziły dwie, zupełnie się nie bały. Płakałam, nawet na chwilę nie mogłam usiąść i cały czas musiałam z nimi walczyć, bo przecież nie można narobić szkody. Na trzeci dzień Ania kazała mi zabrać Mórfa na łąkę. Do tej pory nie miał nic wspólnego z krowami, zupełnie nie widział, jak się zachować i nie słuchał poleceń, ale jednak było nieco łatwiej. Straciłam swojego obrońcę, a gospodarze na pewno żalowali psa i domyślałam się, że musieli pokryć koszty leczenia Władka. Dziesiątki lat minęły od tamtego wypadku, a ja ciągle mam te straszne chwile w pamięci.

Coraz krótsze i chłodniejsze dni były znakiem, że nadeszła jesień. Na łące spędzałam całe dnie, bez przerwy obiadowej. Rano było późniejsze wyjście na pole, a wieczorem pasłam krowy prawie do zmroku. Zdarzało się, że w pobliżu pastwiska kopali ziemniaki, wtedy pomagałam je zbierać. Wieczory spędzałam razem z domownikami w dziennym pokoju za kuchnią, było jasno, ciepło i...obco. Cały czas pamiętałam o swoim miejscu w tej hierarchii. To nie był mój dom i nie moja rodzina. Dziwiło mnie też, że wieczorem w pokoju nigdy nie było gospodarza.

Z pastwiska często wracałam w mokrych butach albo cała przemoczona. Moim problemem było, jak przez noc wysuszyć ubranie. Jeżeli nie wyschło, to takie zakładałam rano następnego dnia, nie miałam nic na zmianę. Jedna para butów i jedna wytarta kurtka - to wszystko, czym dysponowałam. Brakowało ciepłego swetra i innych cieplejszych ubrań, a także peleryny od deszczu. Częste mgły, niskie temperatury i deszcze sprawiały, że pilnowanie bydła na polu było dla mnie coraz bardziej nudne i trudne.

Pewien dzień szczególnie zapamiętałam. W siąpiącym deszczu siedziałam skulona i dygocząca

z zimna, wyglądałam kolejnego jadącego pociągu. Nagle ktoś podszedł z tyłu i dłońmi zakrył mi oczy. To Tatuś przyszedł zobaczyć, jak się czuję i przyniósł mi jednego cukierka, pewnie od kogoś dostał. Bardzo się cieszyłam, prawdziwa niespodzianka, powiedziałabym, że dla mnie to było święto. A Tatuś zobaczył zziębnięte, kaszlące dziecko w lichym ubraniu, mogę się tylko domyślać, co wtedy czuł. W powrotnej drodze zaszedł do moich pracodawców i powiedział im, że nie wiedzą, jaki los może spotkać ich córki. Nie wiedziałam o tym i nie zauważyłam żadnej zmiany czy troski o moje ubranie. Ulitował się Franek, z szopy przyniósł mi wojskowy płaszcz z wyciętym z tyłu wąskim paskiem materiału na całą długości.

– Weź to, będzie ci cieplej – powiedział.

Zszyłam wycięcie, płaszcz był długi do ziemi i szeroki, okryłam się i już nie marzłam. Tylko te buty nie chciały wyschnąć przez noc. Powinny być gumiaki i ciepłe spodnie, gumiaków nie miałam, a co do spodni – Mamusia nie mogła wymyślić, z czego by je uszyć. Wcześniej dla Czesi uszyła spodnie z wyprutej podszewki z płaszcza Tatusia.

Dotrwałam do połowy listopada. Wtedy, ku mojej radości, wieczorem powiedziano mi, że jutro idę do domu. Spodziewałam się tego, bo w nocy bywały już przymrozki, czas wypasu bydła się skończył. Następnego dnia po śniadaniu gospodyni położyła mi na stole trzynaście marek (po dwie marki za miesiąc) ze słowami, tym razem po niemiecku: „wynoś się do domu.” Zabolalo, jakby cierń ukuł mnie w serce, przecież starałam się dobrze wykonywać swoje obowiązki. Dlaczego tak powiedziała? Mimo wszystko zachowałabym o niej w miarę dobrą opinię, ale te ostatnie słowa na pożegnanie przechyliły szalę.

Wracałam do domku nad szosą. Wcześniej dowiedziałam się, że moja rodzina tam powróciła.

Niemcy znad Morza Czarnego bali się partyzantów i domki stały puste. Na prośbę Mamusi urzędnicy w Milczu wyrazili zgodę na przeprowadzkę. Następnego dnia pojechałam z Tatusiem do lekarza w Chodzieży. Rodziców niepokoił mój kaszel. Lekarz zdiagnozował silne przeziębienie, ale nie mógł dać zwolnienia. W mojej sytuacji zwolnienie było już niepotrzebne.

Ostatnie miesiące

Wszyscy byliśmy uradowani z możliwości powrotu do poprzedniego domku, bez porównania większego i wygodniejszego od jednego pokoju w Kamionce. Tak właśnie – w jednym pokoju mieszkała większość polskich rodzin. Dobrze, że poprzedni mieszkańcy nie zniszczyli naszych klatek-szopek, nasze zwierzątka odzyskały swoje miejsca, w przeciwnym wypadku byłby duży kłopot.

Powróciłam do swoich obowiązków – jedynego zaopatrzeniowca w domu. Kazia i Olek z przynoszeniem dwóch litrów mleka jakoś sobie musieli radzić, ale dostarczanie reszty zakupów byłoby ponad ich siły i możliwości. Zaraz też wybrałam się do wiatraka z ziarnem na wymianę na mąkę, niosąc trzy cygara w kieszeni dla pana Młynarza. Stasiu znowu miał blisko do pracy w lesie, nie musiał już codziennie pokonywać kilkukilometrowej odległości. Czesia, jak zawsze z dokładnością zegarka, stawała na przystanku autobusowym w lesie, nigdy się nie spóźniła i nie opuściła ani jednego dnia w pracy.

– Znalazłem rower – powiedział Stasiu po przyjściu z pracy – leży w zagajniku z przykrytymi gałązką świecidełkami odbłaskowymi.

– Gdybyś go ruszył, zaraz by tu byli za tobą – odpowiedziała Mamusia.

Po tygodniu zaciekawiony poszedł sprawdzić – rower nadal tam był. Następnego dnia Tatuś, domyślając się, że rower został ukradziony, poprosił dwóch mężczyzn, jadących na rowerach w stronę Ujścia, żeby zawiadomili policję. Za chwilę przyjechało dwóch policjantów i to właśnie Stasia podejrzewali o kradzież tego roweru. Przeprowadzili śledztwo, stawiając Tatusia i Stasia plecami do siebie, zadawali dużo pytań. Tatuś był tłumaczem. To było przykre, budzące niesmak doświadczenie. Okradziony rolnik – Niemiec z sąsiedniej wioski – odzyskał swój rower, podziękowania nie było.

Dla wszystkich nas bolesna była wiadomość o upadku powstania w Warszawie. Byli tam nasi krewni i nie mieliśmy wiadomości, co się z nimi dzieje, czy żyją? Najlepszym dowodem, że zbliża się wyzwolenie i koniec wojny, były okopy przy szosie z obu jej stron. Były to głębokie rowy kilkakrotnie załamujące się pod kątem prostym. Stasiu też musiał je kopać. Dla nas – dzieci było to coś nowego, nieznanego. Na nasze pytania, Tatuś wyjaśnił, że dla żołnierzy na froncie jest to jakieś schronienie w czasie walki. Innych oznak nie było widać, w każdej chwili mogło się coś nieprzewidzianego wydarzyć, mogło być jeszcze bardziej niebezpiecznie.

Znowu kilku znajomych mężczyzn, pracujących na szosie, przychodziło na gorącą kawę. Wtedy dyskusje bywały gorące, pełne emocji, oczekiwania, niepokoju i lęku – jak to będzie? Najbardziej wyczekującym i niecierpliwym był pan Ciężki.

Kierowca autobusu, od zawsze ten sam, został powołany na front, odbywał ostatni kurs razem ze

swoim następcą. Zupełnie niespodziewanie dla Czesi, zamiast, jak co dzień zatrzymać się na przystanku autobusowym w głębokim lesie, zatrzymał się na szosie koło naszego domku. Co się stało? Przypomniawszy sobie, że dawno temu był o to proszony, czy pamiętał cały czas i z jakichś powodów tego nie robił? Od tamtego dnia nowy kierowca zatrzymywał autobus koło naszego domku, a kilka minut wcześniej, dla lepszej orientacji, w oknie była wystawiana mała naftowa lampka. Następnego dnia rano Czesia zaryzykowała i czekała na przyjazd autobusu koło domku i nowy kierowca w tym miejscu się zatrzymał. Co by było, gdyby nie dotarła na czas do pracy? Szkoda, że to nie wydarzyło się wcześniej, były to już ostatnie tygodnie, a może dni jej pracy. Krótko przed spodziewanym powrotem Czesi Tatuś podgrzewał dla niej obiad – tego dnia był żurek i ziemniaki. Zupę w garnku łatwo podgrzać, ale ziemniaki na patelni podlane wodą (zamiast tłuszczu) nawet ładnie wyglądały, ale były niesmaczne. Jeżeli patelnia była chociaż przetarta skórą od słoniny, były lepsze.

Nadeszła tęga zima

Gruba warstwa śniegu otulała ziemię i mrozy dawały się wszystkim we znaki. Minęły kolejne święta Bożego Narodzenia na wygnaniu i 1945 Nowy Rok rozpoczął od początku odliczać dni. Pozornie było tak samo, ale wyczuwało się niepokój. Czesia z powodu dużych mrozów (nie jeździł autobus), kilka dni nocowała u znajomych w Chodzieży. Do domu miała wrócić w sobotę, żeby niedzielę spędzić z rodziną, niestety, autobus nadal nie kursował. Żeby nie musiała sama

wracać do domu, poszłam do Chodzieży z saneczkami, żeby zabrać to, co miała do zabrania. Spotkałyśmy się około szesnastej, zapadał już zmrok, w mieście świeciły lampy. Do domu miałyśmy dziesięć kilometrów drogi, którą musiałyśmy pokonać pieszo, prawie całą drogę przez las. Dobrze, że byłyśmy dwie, było nam rażniej. Za miastem ciemne niebo i czarny las, a do tego śliska szosa. Biel śniegu na poboczach sprawiała, że droga była widoczna. Szłyśmy i biegłyśmy na zmianę, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu. Chciałoby się powiedzieć, że po drodze nie spotkałyśmy ani jednej „żywej duszy”, byłoby to dla nas bezpieczniejsze. Niestety, jednak spotykałyśmy i szóstym zmysłem wyczuwałyśmy, że te „żywe dusze” mogły być dla nas zagrożeniem. Co jakiś czas ukazywały się reflektory zbliżającego się samochodu albo kilku samochodów. Dobrze, że Czesia była mądrzejsza i zarządziła – chowamy się. Za każdym razem, na widok zbliżających się reflektorów, przechodziłyśmy przez rów zasypyany śniegiem i w lesie (żeby nas nikt nie dostrzegł) chowałyśmy się za drzewami. Mijały nas duże, kryte samochody z ciężko pracującymi silnikami. Nie wiadomo, co przewozili: wojsko czy sprzęty – może jedno i drugie. Na ostatnim odcinku drogi nie było lasu, ale też w tym czasie nie jechał żaden samochód. Z uczuciem ulgi stanęłyśmy na progu domu. Mamusia akurat zabierała światelko wystawione w oknie na wypadek, gdyby jednak jechał autobus, usłyszałyśmy słowa: „już dzisiaj nie wrócą do domu”.

Na szosie zaczęły pojawiać się pojedyncze wozy z uciekającymi ludźmi. Powstało ogólne zamieszanie i nie wiadomo było, jaka jest sytuacja: urzędy pracują czy już nie pracują, co nadal trzeba robić, a czego już nie potrzeba? Nadal byliśmy pod okupacją niemiecką. W poniedziałek, z pewną obawą,

Czesia i Stasiu nie poszli do pracy, nie było też widać mężczyzn na szosie, może tylko u rolników zostali jeszcze polscy robotnicy.

Tymczasem na szosie widać było coraz więcej konnych wozów z Niemcami uciekającymi w stronę Ujścia. Sytuacja nie do pozazdroszczenia, wozy na drewnianych kołach, kilkunastostopniowy mróz, a na wozach po kilka osób, w tym dzieci i starsi. W nocy jechały pojedyncze furmanki, z daleka słychać było skrzypienie kół od mrozu, niebo upstrzone gwiazdami, jasno i bardzo zimno. Przypomnieliśmy sobie naszą ucieczkę sprzed kilku lat, wtedy przynajmniej było ciepło. Nie zapalając światła, Tatuś podchodził do okna, współczuł uciekinierom, ale też się bał, żeby nas nie wyrzucili i nie zajęli naszego domu. Tatuś przywoływał i powtarzał zdanie: „A módlcie się, żeby wasza ucieczka nie wypadła w zimie.” (Ewangelia według św. Mateusza, rozdział 24-20).

Synowie państwa Nowaków byli na froncie, Leon znacznie wcześniej został powołany, a gospodarz Stefan w ostatnim czasie do tzw. volk szturm. Na gospodarstwie zostały kobiety i 13-letni nasz Mieciu. Starszy pan Nowak nie mógł już pracować.

Rolnicy nie przestrzegali przepisów i zabijali świnie czy cielaki na własne potrzeby. Tego ranka Tatuś poszedł do państwa Nowaków i jako główna siła, pomagał przy uboju i rozbieraniu tuszy. Natomiast ja poszłam do wiatraka, niosłam ziarno z nadzieją, że przyniosę mąkę. Niestety, wiatrak był nieczynny, nikogo w pobliżu nie było. W powrotnej drodze rozglądałam się na wszystkie strony i nie zauważyłam ani jednego człowieka czy pojazdu. Świat wokół był piękny, jak daleko okiem sięgnąć pola i domy przysypane śniegiem i przeświecone ostrym słońcem. Nie potrafiłam się cieszyć tym krajobrazem z powodu ciszy, jaka mnie

otaczała. „Cisza, że aż w uszach dzwoni” – to właściwe określenie tej sytuacji. Szłam szybko, chwilami ogarniał mnie strach, ale jeszcze postanowiłam zajść do zabudowań pana leśniczego, aby zobaczyć, czy mieszkańcy są w domu, miałam o coś zapytać. Drzwi były otwarte, od razu zauważyłam, że w pośpiechu opuszczali dom. Ubrania były porozrzucane, książki i zeszyty w nieładzie leżały na podłodze – ogólnie wielki bałagan. Zabrałam dwa, nie do końca zapisane zeszyty i pudełko z resztkami farbek wodnych. Był to dla mnie cenny nabytek, miałam na czym pisać. Wchodząc do domu, nie zauważyłam, że w budynkach gospodarczych mężczyźni pracują przy obrządku inwentarza. To byli Polacy, zapytali skąd jestem i jak się nazywam.

– Przyjdź pod wieczór, będziemy tutaj, to damy ci coś do jedzenia – powiedział jeden nich.

Obiecałam, że przyjdę. Dowiedziałam się, że wszyscy Niemcy do samego Ujścia zostali ewakuowani, tylko służba – Polacy opiekujący się inwentarzem i my mieszkaliśmy tam nadal.

W południowych godzinach szosą w stronę Ujścia szedł mężczyzna bardzo zmęczony, z czapką w ręce, pomimo mrozu i oznajmił nam: „Rosjanie są już w Chodzieży”. Z niedowierzaniem przyjęliśmy tę wiadomość. Zgodnie z planem o odpowiedniej porze chciałam pójść do zagrody leśniczego, tak naprawdę zależało mi na tych nie do końca zapisanych zeszytach, może bym jeszcze sobie coś przyniosła. To tylko kilometr, uwinęłabym się raz dwa. Pomimo moich próśb Mamusia zdecydowanie powiedziała: „nie, nigdzie nie pójdziesz!”

Za jakiś czas, może za godzinę, kiedy Mamusia wieszała akurat pranie na strychu, usłyszeliśmy hałas, z każdą chwilą wzmagające się i zbliżające w naszym kierunku dudnienie, jakby walił się cały świat. Byliśmy

przerażeni i nieświadomi tego, co może się za chwilę wydarzyć. Z lasu po kolei wytoczyły się trzy czołgi – potwory z długimi lufami, zatrzymały się koło naszego domku. Nikt z nas nie widział czołgów, a Tatusia akurat nie było w domu. Czołgiści oddali kilka strzałów w kierunku Ujścia, wyszli na zewnątrz i obserwowali nasz dom. Nie wiadomo było, kim oni są. Mamusia nas zaskoczyła, mówiąc: „dowiem się, kimkolwiek są, nic mi nie zrobią” i poszła, a my staliśmy przy oknie i trzęśliśmy się ze strachu. Zauważyła czerwone gwiazdy na mundurach i czołgach, wszystko jasne – to byli Rosjanie. Pierwsze ich pytanie: czy my Polaki i gdzie są Niemcy? Niemieckiego wojska nie widzieliśmy, na tym terenie nie stawiali żadnego oporu i sowieckie czołgi, bez walki, szybko posuwały się naprzód. Kilku żołnierzy weszło na chwilę do domu, czuło się od nich woń alkoholu. Porozmawiali z nami, Mamusia zaśpiewała im fragment jakiejś rosyjskiej piosenki. Tatuś usłyszał dudnienie czołgów i strzelanie, wiedział, co się wydarzyło, brnąc w śniegu, pośpiesznie wracał do domu. Kiedy nagle pojawił się na górcie, żołnierze od razu chwycili broń. Na wyjaśnienie Mamusi, że to mąż, uspokoili się. Zaczepnęli ze studni wiadro wody, któryś powiedział do Stasia: „chodź coś ci damy” i poszli, a Stasiu z nimi. Przyniósł damskie półbuty, nawet ładne, tylko że każdy był od innej pary. Nie mogliśmy się nadziwić, że zabrali nasze wiadro, a i nożyczek też nie było.

Nasz dzień wyzwolenia – 23 stycznia 1945 roku – tak długo wyczekiwany, pełen strachu, emocji i ogromnej radości, stał się faktem. Bogu Najwyższemu dzięki, że dotrwaliśmy. Jednak to nie był jeszcze koniec naszych udręk. Czołgi jeździły w obie strony, powoli przyzwyczailiśmy się i nie robiły już na nas większego wrażenia. Żołnierze przychodzili po wodę albo do domu porozmawiać. Tatuś pytał, czy jesteśmy

bezpieczni, odpowiadali, że możemy być spokojni, a jeżeli coś by się działo, to nam powiedzą. Tatuś nie był spokojny, czuwał w dzień i w nocy. Dobrze znał wojnę i wiedział, że w każdej chwili los może się odmienić. Mieciu i Stasiu pomagali w gospodarstwie u państwa Nowaków. Za zgodą gospodarzy Mamusia, Kazia i Olek też zamieszkali u nich na wypadek, gdybyśmy musieli szybko uciekać. Byli tam tylko jedną noc. W naszym domu z Tatusiem zostałyśmy tylko Czesia i ja, nagle zrobiło się dziwnie pusto i dużo miejsca do spania. Pod wieczór przyszło dwóch mężczyzn, prosili o nocleg. Wywiezieni na roboty wracali pieszo do swoich domów. Następnego dnia rano obudziłyśmy się, a wędrowców już nie było, poszli swoją drogą.

Ranek był mroźny i słoneczny, rozpaliliśmy ogień w piecach, nie zdążyłyśmy zrobić śniadania, gdy zaintrygowały nas salwy wystrzałów w niedalekiej odległości. Któreś z nas zauważyło w oddali tuman śniegu, który nagle wzbił się w górę. Wydawało się to niemożliwe, żeby tutaj spadł pocisk, a jednak. Ostra strzelanina trwała może z 15 minut. Tatuś stwierdził, że to czołgi albo armaty. Ku naszemu zdziwieniu nagle ujrzeliśmy na górze całą piątkę brnących w śniegu członków naszej rodziny. Okazało się, że to Nietuszkowo zostało ostrzelane, wybuchła panika, pan Nowak zarządził: „wszyscy z domu i pod mur”. Dwa domy w wiosce zostały trafione, jeden z nich był domem państwa Klejwenhen. Na szczęście nikt nie zginął, gdyż większość pocisków spadła za wioską, na polu.

Mamusia zabrała wszystkie swoje dzieci i razem wrócili do domu. Była przekonana, że wioskę mogą ponownie ostrzelać, a stojącego pojedynczo naszego domu, nie będą. Tatuś szybko zdecydował: „dwójka najmłodszych do łóżka, zdjąć im tylko mokre buty i pończochy, suszyć je na piecu, ale dzieci nie rozbierać

z ubrań”. W kuchni ugotowała się kasza na śniadanie, Mamusia kroїła słoninę (już mieliśmy cały polec), gdy nagle gruchnęła jak grom z jasnego nieba wieść. Tatuś stanął w drzwiach ze słowami: „musimy szybko uciekać, za chwilę będzie tu front, czołgi zajmują stanowiska”. Szybko, jak najprędzej ubieramy się, maluchy w niewyschnięte ubrania, nie ma czasu na takie drobiazgi jak szaliki czy rękawiczki, opuszczamy dom. Akurat podjeżdżał czołg i ustawiał się w szczycie domu, koło klatek z królikami.

– Pod stóg – Tatuś przynaglał – pod stóg (oddalony około 600 m).

Uciekaliśmy, to za dużo powiedziane, przemieszczaliśmy się na przelaj, nogi zapadały się w głębokim śniegu. Mamusia nie mogła iść dalej, jej serce na to nie pozwalało. Może byśmy zdążyli dojść do Nietuszkowa, jeszcze nie widzieliśmy niemieckich czołgów ani wojska. Słyszeliśmy huki, świsty i błyski krzyżujących się nad naszymi głowami pocisków. Dotarliśmy pod duży podłużny stóg z seradeli czy wyki stojący na majątkowym polu. Było to jedyne w pobliżu miejsce dające schronienie. W tej samej chwili podjechał rosyjski czołg i ustawił się z przodu stogu, za naszymi plecami, strzelając odpierał natarcie i równocześnie był celem wroga. Tymczasem my, z drugiej strony, przykucnęliśmy na ziemi i odmawialiśmy wszystkie modlitwy, jakie Mamusia znała. Na razie byliśmy niewidoczni dla Niemców. Baliśmy się, żeby od tych pocisków, mierzonych w czołg, nie zapalił się stóg. Kanonada nie ustawała z obydwu kierunków. Cofające się czołgi rosyjskie przysłonił las, szosą posuwały się czołgi niemieckie, białe i znacznie mniejsze, a z boków polami szła piechota w maskującym, białym odzieniu. Zbliżali się do linii stogu – za chwilę nas zauważą – myśleliśmy! Bardzo baliśmy się momentu spotkania

z niemieckim wojskiem. Do ostatniej chwili rosyjski czołg stał na stanowisku za naszymi plecami, nagle zawrócił i pospiesznie odjechał polami.

Żołnierze minęli stóg i zauważyli nas, pierwsze słowa: „ręce do góry” i „Polacy czy Niemcy?” Odpowiedź mogła być tylko jedna: „Polacy”. Tatuś tłumaczył im naszą sytuację, pokazał swoją książeczkę wojskową. Jeden z wojskowych złym wzrokiem mierzył Stasia, pytał ile ma lat (miał 16 lat, był wysoki). Chwila była straszna, wstrzymałam oddech, wszyscy mieliśmy wrażenie, że podniesie broń i strzeli. Tatuś zapytał, czy możemy iść do wioski, do Nietuszkowa, tam są ludzie. Żołnierz odpowiedział twardo: mamy iść w stronę Ujścia. Tatuś tłumaczył, że tam nie ma ludzi, że nie mamy żywności. Powtórzył, że mamy iść tam i wskazał ręką kierunek.

Wracaliśmy, nasz dom się palił, czołg został trafiony, zapaliły się od niego szopki dla królików, okno domu i wyżej drewniane części strychu. Pod próg domu podjechał niemiecki oficer, wysiadł z samochodu, nie okazywał wrogości, był nawet uprzejmy. Tatuś porozmawiał z nim i on pozwolił iść do Nietuszkowa – wielka ulga. Można było wejść do kuchni, a do drugiego pokoju przez okno, które samo się otwarło. Pokój za kuchnią był czarny, pełen gryzącego dymu z tłącego się okna. W kuchni kaszę w garnku ktoś pomieszała, a na stole stała nie nasza butelka. Szopka z królikami dopalała się, do kozy ogień jeszcze nie doszedł i uniknęła spalenia żywcem jak króliki – w męczarniach. W drugim pokoju Mamusi ukochany obraz „Najświętsze Serce Jezusa” od wstrząsów zsunął się ze ściany i ze zbitym szkłem stał na podłodze. Zabraliśmy obraz, kozę, bardzo wystraszone kury z komórki i poszliśmy do wioski. Nadchodzący wciąż żołnierze piechoty szli w kierunku Chodzieży i odbijali, zajęte z łatwością przez Rosjan,

teren. Na szczęście już nie zwracali na nas uwagi. Huk wystrzałów nieco się oddalił, ale nie zmniejszył, zacięta walka toczyła się nadal.

W Nietuszkowie ktoś z miejscowych przywołał nas na podwórze majątku i zaprowadził do piwnicy domu, w którym mieszkali kolejni zarządcy z rodzinami oraz uciekinierzy z Berlina. Wszyscy mieszkańcy zdążyli uciec, dom był opuszczony. W piwnicy schroniło się sporo Polaków. Po porannej strzelaninie szukali bezpiecznego miejsca, pytanie: czy ta piwnica była bezpiecznym miejscem? Doskonale słyszeli odgłosy bitwy, jednak dopiero od nas dowiedzieli się, że znowu wrócili Niemcy. Na pewno widział i wiedział to rosyjski żołnierz, który z lornetką w wieżycze pałacu obserwował okolicę. Wziął ze stajni konia i pogalopował okrężną drogą do swoich, chyba mu się udało – za jakiś czas koń wrócił sam. Siedzieliśmy na ławkach ustawionych pod ścianami, na środku była rozścielona słoma dla dzieci, które z braku miejsca musiały spać na zmianę. Dla mnie nie było miejsca na słomie, więc zasypiałam siedząc na ławce, marzyłam, żeby położyć się gdziekolwiek i zasnąć. Byliśmy głodni, w piwnicy oprócz kilku słoików kompotu nie było nic do jedzenia.

Mamusia czuła się bardzo źle, po całodziennych dramatycznych przejściach serce biło jak oszalałe i nie chciało się uspokoić. Nie pomagały zimne okłady ani krople. Miejscowe kobiety chciały pomóc, ale nie wiedziały w jaki sposób. Pani Klejwenhagen przyniosła z domu złote krople, podobno najlepsze, ale przede wszystkim potrzebny był spokój. Jak znaleźć spokojny kąt, kiedy nieopodal toczyła się zacięta walka, ziemia drżała od huku dział, niebezpiecznie i strach było wyjść z piwnicy. W każdej chwili mogły spaść jakieś pociski albo mogło wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Mimo

wszystko rodzice poszli do czyjegoś opuszczonego mieszkania w tym domu, Mamusia koniecznie chciała się położyć do łóżka.

Nie jestem w stanie opisać tamtej, trwającej prawie całą dobę, grozy, naszych uczuć strachu i zagrożenia. Rano nagle wszystko ucichło, jakby nigdy nic się nie działo. Rosjanie wycofali się pod Chodzież, w nocy nadeszły większe siły i Niemcy zostali wzięci w tzw. kocioł. Ratując się z okrążenia ucieczką na przełaj, trzy niemieckie czołgi utkwiły w głębokim kanale, w bliskiej od siebie odległości. Z nieznanym mi przyczyn nie mogły się z niego wyrwać. Koło naszego domu stały dwa rosyjskie unieruchomione czołgi: pierwszy w szczycie domu, drugi z drugiej strony koło szosy, trafiony w późniejszym etapie walki. Na polu walki w śniegu zostało dwóch martwych rosyjskich żołnierzy. Niemcy podobno swoich zabrali. Obraz po bitwie był ostatnim świadectwem toczącej się od kilku lat wojny.

Zamieszkaliśmy w jednym z kilku mieszkań w dużym domu, dwa pokoje na piętrze i kuchnia na parterze, to było nasze nowe, tymczasowe lokum. Od tamtej chwili Mieciu wrócił do rodziny, a do pomocy u państwa Nowaków codziennie dochodzili Mieciu i Stasiu. Tatuś też często szedł, żeby wszystkiego przypilnować i jak była taka potrzeba, pomóc. Teraz było blisko po mleko i do sklepu, w którym można było kupić (już nie na kartki) wszystko, co było na półkach, do wyczerpania towaru. Jak nigdy dotąd udało się kupić m.in. masło. Mleka przynosiliśmy, ile było potrzeba, przez pierwsze dni nie było odstawiane do mleczarni. W kuchennej szafce znalazłyśmy brązowy proszek, może to jest kakao? Ugotujemy na kolację – pomyślałyśmy obie z Czesią. Próbowaliśmy na sucho, rozpuszczone w wodzie, ugotowane, niestety, pomimo naszych chęci i czynionych prób, brązowa farba to nie było kakao. Byłyśmy bardzo zawiedzione.

Kilku Polaków z biało-czerwonymi opaskami na rękawie organizowało w nowych warunkach życie, jednym z nich i najważniejszym był pan Ciężki.

Wozak, po krótkiej przerwie, wznowił odwożenie mleka do mleczarni. Na miejscu było go w nadmiarze i nie wiadomo było, co z nim zrobić, a w Chodzieży mleko było bardzo potrzebne, szczególnie dla dzieci. Kilka osób (między innymi ja) było chętnych, żeby zabrać się z nim do Chodzieży. Moim celem było odzyskanie książeczki pracy Czesi, no i zaspokojenie ciekawości, co działo się w mieście? Na początek poszłam do fabryki cygar (gdzie pracowała Czesia), tam spotkałam mężczyznę z opaską na rękawie pilnującego obiektu, podłoga zasypana była dokumentami. Na moje pytanie o książeczkę pracy siostry usłyszałam jedno zdanie: „Nie ma takiej możliwości”.

W Chodzieży cały rynek zastawiony był wozami z umęczonymi, krążącymi wokół uciekinierami, którzy się spóźnili. Od znajomych dowiedziałam się, że w ostatnim dniu, o wyznaczonej godzinie na rynku mieli zebrać się wszyscy Polacy. Tam czekały ustawione karabiny maszynowe. Wcześniej, przed ustaloną godziną, do Chodzieży wjechały rosyjskie czołgi (ustny przekaz, wiadomość niesprawdzona). Kat Chodzieży – Niemiec w ostatniej chwili chciał uciec z miasta lokomotywą, jednak została ona uszkodzona pociskiem, wskoczył do innej i udało mu się odjechać w kierunku Piły. Już miałam wyjść, gdy do drzwi zapukała jakaś Niemka i nieśmiało zapytała, czy może przyjść z rodziną i napić się czegoś gorącego – kawy lub herbaty. Po chwili przysłała z mężem i dwójką dzieci, jedzenie mieli własne. Wróciłam do domu pełna wrażeń i z nowymi wiadomościami.

Każdy kolejny dzień przynosił nowe wydarzenia, nie tylko dobre, ale i bardzo złe. Obecność wojska, w liczbie od kilku do kilkudziesięciu osób, była

codziennością. Problemem była gorzelnia, a raczej produkt gorzelni – bimber, z którego wojsko chętnie korzystało całymi wiadrami. Pierwsze przywitanie wyzwolicieli odbyło się z hukiem i przytupem. Długo w noc głośna muzyka, tańce i śmiechy niosły się wokoło. Tylko, że następnego dnia kobiety płakały, a w sąsiedniej wiosce tej nocy zastrzelona została młoda Polka. Tatuś ze smutkiem powtarzał: „wczoraj było tak wesoło, a dzisiaj...” i zawieszał głos. Nic z tego nie rozumiałam. Czesia dla niepoznaki ubierała się w spodnie, włosy chowała pod czapkę z daszkiem i udawała chłopaka. Na nic się to zdało, zdradzał ją uśmiech i sylwetka. Jeden z żołnierzy, adorator chodził za nią, chodził, wzdychał i powtarzał: „tak mi się ten chłopiec podoba...” (przemilczam dalszą część zdania). Na szczęście za dzień czy dwa wyjechał. Tatuś był bardzo czujny i przewidywał, co mogło się wydarzyć, nie spuszczał Czesi z oczu.

Pan Ciężki i dwaj inni mężczyźni z opaskami na rękawach przyszli w pobliże naszego domku, żeby pochować poległych rosyjskich żołnierzy. Mieciu dowiedział się o tym i namówił mnie, żebyśmy poszli zobaczyć. Cicho i spokojnie leżeli w głębokim śniegu, jeden z nich blisko stogu, który nas wcześniej osłaniał przed pociskami. Dół już wcześniej został wykopany przy kępie drzew. Na ręcznym wózku przewozili po kolei każdego z nich i wkładali bez trumny do dołu, zabierając wcześniej dokumenty poplamione krwią. Bardzo mocno przeżyłam ten pogrzeb.

Chodziliśmy do naszego domku, żeby pozabierać wszystko, co tam zostało: pierzyny, garnki, naczynia itp. W szopce, w skrzyni zakopane były w ziemi pelisy rodziców i cenniejsze ubrania, jakie były w domu. Ślady kopania ziemi przykrył popiół ze spalonej szopki. Po te rzeczy trzeba było pójść bardzo wcześnie rano,

ponieważ tam przy rozbieraniu czołgów pracowali mechanicy. Tatuś z chłopcami odzyskali schowane ubrania.

Ten samotny domek nad szosą przyciągał nas jak magnes. Któregoś razu poszłam z Miciem po ostatnie przedmioty, które jeszcze tam pozostały. Nagle usłyszeliśmy w lesie strzał i prawie pod nasze nogi małe „coś” spadło na ziemię. Nie zatrzymując się, poszliśmy dalej. Wracając, zabraliśmy to małe „coś”, które okazało się pociskiem. Ktoś do nas strzelił, a my, nieświadomi zagrożenia, zbliżaliśmy się w jego kierunku.

Odgłosy wojny oddaliły się, ale cały czas było je słychać, szczególnie w nocy. Hałas i dudnienie oraz drżące w oknach szyby nie pozwalały rodzicom spać. Bardzo ciężkie walki toczyły się w Pile i jej okolicach, oddalonej w linii prostej o 10-12 kilometrów. Któregoś dnia nagle zjawiała się duża grupa rosyjskiego wojska, majątkowe podwórze zastawione było wozami, samochodami oraz pojazdami, których nie umiem nazwać. Konie zostały poupychane w budynkach. Żołnierze zajmowali pokoje obok nas, rozchodzili się po wiosce, nocowali w szkole albo przychodzili do mieszkania (tu było ciepło). Układali się na podłodze, nie pytając rodziny o zdanie. Przynosili kilka zastrzelonych kur albo kawał świńskiego mięsa i kazali gotować dla siebie obiad. Nie można było odmówić towarzyszom, bo mogłoby się to dla nas źle skończyć. Mamusia, pomimo złego samopoczucia, z pomocą Czesi, musiała ugotować obiad dla kilkunastu osób i razem usiąść do stołu, bo oni bali się otrucia. Po jednym lub dwóch dniach ich postój i odpoczynek się kończył, o świcie oddalali się w kierunku Piły. Przychodzili następni i jeszcze następni, również grupy kobiece.

Na picie alkoholu zawsze była odpowiednia pora, a że towarzysze byli weseli i gościnni, przychodzili do

mieszkania z bimbrem. Pół biedy, jak tylko zachęcali do picia, bo można się było jakoś wykręcić. Pewnego dnia dostałam alkohol do ręki, wiedziałam, że nie mogę tego wypić, po chwili odwróciłam się i cieniutkim strumieniem wylałam go na podłogę. Znacznie gorzej, jak przyszli nietrzeźwi i zmuszali do picia. Wówczas 14,5-letnia Czesia miała wypić za ich zdrowie, ale nie chciała wziąć kubka czy szklanki do ręki. Żołnierz usilnie go jej podsuwał pod usta, mówiąc: „to ja za ciebie krew przelewał”. Czesia, uśmiechając się cały czas (bo taka jej natura) spróbowała, alkohol był tak palący i mocny, że zaraz go wypłuła. W tym momencie żołnierz przystawił jej automat do piersi (to była jedna z najbardziej dramatycznych chwil), usłyszałam jęk Mamusi. Na szczęście zareagował jego kompan, podskoczył podbił broń i usiłował ją odebrać, powstało zamieszanie.

– Uciekaj – usłyszałam słowa Mamusi skierowane do Czesi.

Wojskowi szarpali się, upadli na podwójne łóżko, jednak broni jeden drugiemu nie zdołał odebrać. Czesia pobiegła wzdłuż długiego budynku gospodarczego, obserwowana z okna pokoju na piętrze przez obydwu żołnierzy, odetchnęliśmy z ulgą, kiedy zniknęła za zakrętem w parku.

Zapamiętałam żołnierza, 16-letniego chłopca. Tatuś pytał, dlaczego taki młody jest na wojnie, odpowiedział, że z jego rodziny wszyscy zginęli: rodzice, siostry, brat, a on został sam i jako ochotnik idzie się mścić.

Inny żołnierz zapytał, czy Tatuś ma brzytwę, bo chciałby się ogolić. Gdy skończył golenie, zapytał czy ma drugą, na odpowiedź, że nie, brzytwę zostawił. Krążyły pogłoski, że zabierają zegarki i brzytwy, w tym przypadku tak nie było.

To nie był koniec kłopotów. Stasiu wrócił do domu od państwa Nowaków, oznajmiając: „żołnierz kazał mi wypić porcję bimbru, bałem się odmówić, więc wypilem i nic mi nie jest”. To był pierwszy alkohol w jego życiu, w dodatku przy tak wycieńczonym organizmie. Za chwilę upadł na podłogę. Mamusia zdążyła jeszcze podać mu złote krople na serce i stracił przytomność. Ogarnęło nas przerażenie, co można w tej sytuacji zrobić? Tatuś szukał wojskowego lekarza, podobno był w wiosce, ale już odjechał. Pozostała tylko modlitwa. Po jakimś czasie zaczął wyrzucać z siebie truciznę, wymiotował, a potem zasnął i bardzo długo spał. Był uratowany, ale bardzo osłabiony – został wrogiem alkoholu na całe życie.

W jeden z następnych dni Mieciu, po porannym obrządku, nie wrócił do domu, u państwa Nowaków też go nie było. Mamusia się denerwowała, gdzie tak długo się podziewa. Wrócił zadowolony z siebie i opowiadał, że oglądał niemieckie czołgi tkwiące w rowie i że do każdego wszedł do środka. Jednak nie pokazał, co przyniósł i nie powiedział, jak ma zamiar to wykorzystać. Czesia, będąc w sąsiednim pokoju, spotkała żołnierza, zawróciła i poszła do siebie. Jak to w dużym domu: korytarzyk, pokoje – żołnierz nie wiedział, gdzie się podziała. Wzbudziło to jego podejrzenie, że w domu ukrywają się szpiedzy. Był już wieczór, na zewnątrz ciemno, nagle wystrzały w powietrze i błyski pocisków pod oknami zaniepokoiły, przebywające w pokoju, Mamusię i Czesię. Pomyślały, że to chodzi o Czesię, więc dla swojego bezpieczeństwa schowała się w szafie. Wojskowi słusznie mogli mieć takie podejrzenia, zwłaszcza widząc wylatujące z komina błyski, co mogli odebrać jako dawanie znaków. Mieciu akurat w tym czasie wkładał po kolei do pieca kuchennego na żar swoje zdobycze i zamykał drzwiczki. To „coś” natychmiast zniknęło i wlatywało kominem (nie wiadomo, co to było).

Brat słyszał niewielki huk, ale nie widział, co działo się na zewnątrz. Byłam w kuchni i miałam wątpliwości, ale on był pewny, że nic się nie stanie. Był o dwa lata starszy, więc mu wierzyłam. Tatuś, wystraszony strzelaniem, przyszedł z wioski i wyjaśniał żołnierzom, że w tym domu oprócz rodziny nikogo nie ma. Do pokoju wbiegła wystraszona kobieta, wołając: „szybko schodźcie na dół, bo zaraz wysadzą dom w powietrze”. Za chwilę wszedł do pokoju Mieciu, a za nim żołnierz z bronią gotową do strzału, spostrzegł siostrę i powiedział: „a to ta panienka, dlaczego uciekałaś?” Pomimo że sprawa się wyjaśniła, Mieciu z lampą naftową, a za nim ów żołnierz z bronią, sprawdzali wszystkie pomieszczenia w tym budynku. Jak na jeden dzień wrażeń było, aż nadto.

W pobliskim lesie, w którym toczyły się walki, kilku mężczyzn przeczesywało teren w poszukiwaniu porzuconych przez wojsko rzeczy. Znajdowali przeważnie koce, ale i inne różne przedmioty. Na jednej i chyba ostatniej takiej wyprawie padł strzał i trafił pana Ciężkiego. Tak niecierpliwie czekał na wyzwolenie i tuż po nim zginął od kuli, strzelił chyba ktoś ukrywający się w lesie. To dramatyczne wydarzenie wstrząsnęło całą okolicą. Nie znaleźmy jego żony, było nam bardzo przykro z powodu jego nagłej i niepotrzebnej śmierci.

Chciałam odwiedzić Celinę, gdy się tam wybierałam, Tatuś mnie ostrzegał: „gdyby chcieli ci dać coś z żywności, to nie przyjmuj, teraz już mamy co jeść”. Celina się ucieszyła, dziewczyny były miłe, a pani Morowska była do przesady uprzejma i miła, witała mnie jak długo oczekiwanego gościa. Gospodarza nie zauważyłam. Na koniec dała mi całą cielęcą szynkę, a ja pomimo przestróg Tatusia, nie umiałam się wymówić. Czułam niesmak, zbyt dobrze pamiętałam słowa pożegnania dwa miesiące wcześniej: „wynoś się do domu.” Jednak okoliczności zmieniają ludzi.

Ostatnim zdarzeniem w Nietuszkowie, o którym trudno zapomnieć, było zrzucenie przez jednego z żołnierzy flagi wiszącej przed naszym domem. To mogło świadczyć o tym, że ktoś na nas naskarżył albo podpuścił tego żołnierza, a od zrzucenia flagi do użycia broni dzielił już tylko jeden krok. Widocznie komuś przeszkadzała tam nasza obecność. Tatuś to widział, wytłumaczył żołnierzowi, że jesteśmy Polakami i zawiesił flagę na miejsce.

Najwyższy czas, żebyśmy wrócili do swojego prawdziwego domu. Na szosach było nadal niebezpiecznie z powodu poruszających się pojazdów wojskowych, żołnierze mogli też zabrać konie, co się często zdarzało. Pomimo to państwo Nowakowie zaryzykowali, użyczyli konie i wóz. Znalazł się też sąsiad chętny na kuczera pojazdu. Kolejny raz pakowanie, z entuzjazmem i radością, po prawie 3,5-letniej poniewierce, wracaliśmy do domu. Rodzice nie pozwolili niczego (nie naszego) zabrać z tego domu. Inni przychodzili i zabierali, co się dało: dywany, firanki, naczynia, nawet meble.

Ostatnia noc w Nietuszkowie była jedną z trudniejszych, zjechała następna grupa wojska. Kilku z nich, jako lokum do spania, wybrała nasze pokoje, było to dla nas bardzo krępujące. Mamusia słyszała w nocy skrzypienie szufladki w nocnej szafce, a rano nie znalazła szalika przygotowanego na podróż.

Tatuś umiał prosić o pomoc i doceniał każdy gest. Nadszedł czas, żeby podziękować naszym dobroczyńcom za wielorakie wsparcie i całe dobro, jakie nam świadczyli. Tego miejsca na ziemi i tych życzliwych rodzin: państwa Nowaków, państwa Klejwenhagen, pana Sztrajcha oraz tych, którym podziękować nie mogliśmy: pana Blenca, pana Młynarza, pana Leśniczego i pana Nadleśniczego, nigdy nie zapomnimy.

Wreszcie po trudach dojeżdżaliśmy do Brzezińca, jeszcze chwila i będzie zjazd na naszą drogę dojazdową, dom, podwórko i zabudowania były coraz bliżej. Lejmanowie oboje stali na progu domu, witali nas zawstydzeni, pokorni, usłużni. Gdzie się podziwała ta pyskata i beczelna kobieta wcześniej ubliżająca Mamusi, wykrzykująca złe słowa? No tak – inne okoliczności. Pan Lejman zсадził z wozu Olka, Kazię, ja nie chciałam, ale mnie też zсадził. Byłam zła, chciałam wejść z powrotem na wóz i sama zejść, ale szkoda było czasu. Witał nas Kazimierz, to było miłe z jego strony, że czekał na nasz powrót. Pierwszą czynnością Czesi i Miecia było wydobywanie, zakopanych w ziemi koło altany, ukrytych przedmiotów: posrebrzanego, stojącego krzyża i lichtarzy, dokumentów, obrączek i innych cennych drobiazgów. Rodzice wypomnieli Lejmanom cały ból, jaki nagromadził się przez kolejne lata, miesiące i tygodnie: ból głodu, strachu o rodzinę, ciężkiej pracy, utraty zdrowia Mamusi, wszystkich złych doświadczeń, jakie były naszym udziałem. Lejman jak zwykle milczał, a ona płakała i tłumaczyła się, że tysiące Niemców zrobiło tak samo jak oni – jakby to było usprawiedliwieniem. Nie pamiętam, czy przeprosili, ale rodzice im wybaczyli. Na dowód, że niezłomnie wierzyliśmy w nasz powrót, pokazali im wydobyte z ziemi przedmioty i przechowaną flagę, a w sypialni pod łózkami, na których spali, pod podłogą ukrytą skrzynię z książkami.

Dom nie przypominał tego, jaki zostawiliśmy, nie było naszych mebli ze stołowego pokoju i sypialni rodziców. O tym wiedzieliśmy wcześniej, Kazimierz i Stefka byli naszymi informatorami. Nasze meble miały być wysłane do Berlina i oni musieli je odstawić do Chodzieży na stację. Bardzo żalowali tych mebli, jakby sami ponieśli wielką stratę. Nie było też naszej

maszyny do szycia, w zamian została ich stara, niewiele warta. Zniknęły obrazy, ramki wykorzystali do swoich obrazków. Szczególnie cennym, który zapamiętałam, był obraz „Opatrzności Bożej” – pamiątka po cioci Teodorze. Jako jedyny zachował się obraz „Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny”, wyniesiony na strych, czekał na nasz powrót. Prawda o utraconych meblach dotarła do naszej świadomości, kiedy zobaczyliśmy w pokojach stare graty. Tak było w domu, a w podwórku nie było lepiej. W stajni stała jedna klacz z małym źrebaczkiem, to zamiana za nasze trzy rącze konie i duże sanie zabrane przez sowieckie wojsko. Nic tylko usiąść i płakać nad obecnym stanem domu i gospodarstwa.

Jeżeli Tatuś przesilił chorą nogę, otwierała się na kostce sącząca i bolesna rana, trudna do wyleczenia. Mamusia musiała oszczędzać swoje chore serce, a szczególnie zdenerwowanie (było go aż nadto) było powodem powtarzających się ataków. Nieletnie dzieci – wszystkie powinny iść do szkoły. Z której strony na to nie spojrzeć, sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Nie można było długo załamywać rąk, ale mierzyć się z trudną rzeczywistością i robić, co w tej sytuacji było możliwe do zrobienia. Na początek były czyszczone kaflowe piece, dymiły i nie chciało się w nich palić, ale Mamusia miała na nie swój sposób. Lejmanowie nadal mieszkali u nas w dziecięcym pokoju, chętni do pracy i pomocy przy obrządki inwentarza. Prosimi i błagali, żeby im na to pozwolić, chociaż niedaleko stał ich pusty dom. Chowali się pod nasze skrzydła w obawie przed zemstą Polaków – robotników z Brzezińca. Widocznie mieli powody.

Po upływie dwóch, trzech tygodni Mamusia oznajmiła, że nie jest w stanie dłużej znosić ich widoku. Na podstawiony wóz pokładli swoje rzeczy i odwieziono ich na miejsce. Ponieśli też stratę, ich syn Hans nie wrócił

z wojny. Helmut Otto i jego młodszy brat, chodzący w żółtym mundurze, też polegli na wojnie. Odwiedzili nas dalsi sąsiedzi – Niemcy, nie było im łatwo, role się odwróciły. Ich robotnicy nagle stali się gospodarzami, a oni – prawowici właściciele, często starzy ludzie, musieli u nich pracować. Zwykle tak jest, że za winnych cierpią niewinni.

Zanim zdążyliśmy wrócić, przybył do parafii ksiądz i wznowił działalność w kościele. Oprócz mszy św. i innych nabożeństw trwała intensywna nauka katechizmu. Dołączyłam do bardzo dużej grupy dzieci uczących się i przygotowujących do pierwszej komunii św. Pomimo że miałam prawie dwanaście lat, należałam do najmłodszych. Mamusia miała rację, mówiąc: „ucz się, to wkrótce ci się przyda”. Co prawda niedużo się nauczyłam, ale byłam w dobrej sytuacji – umiałam czytać. Większość, pomimo że byli znacznie starsi ode mnie, była analfabetami. Przez kilka lat kościół był zamknięty, do szkoły polskie dzieci też nie chodziły i takie były tego skutki. Dla mnie to była pierwsza zorganizowana nauka, dwa razy w tygodniu po kilka godzin. To było to, za czym tak bardzo tęskniłam przez wszystkie wojenne lata. Na otwarcie szkoły trzeba było jeszcze trochę poczekać.

W gospodarstwie działo się źle, pewnego pięknego dnia pasący się na łące koń wystraszył się czegoś i razem ze żrebaczkim uciekł w las. Poszukiwania były bezskuteczne, nikt nic nie widział i nie wiedział. Po jakimś czasie dotarły wieści, że już byśmy naszych koni nie poznali. Ceny koni były wysokie, wartość jednego konia była taka jak dwóch krów.

Od samego początku byliśmy traktowani przez władzę i wszelakiej maści urzędników na wszystkich szczeblach urzędniczej drabiny jako druga albo trzecia kategoria ludzi. Przyczyną były posiadane hektary, a właściwie ich nadmiar (35ha). Na porządku dziennym

były epitety: wyzyskiwacze, obszarnicy, kułacy i wrogowie Polski Ludowej. Bardzo wysokie podatki, nie do zapłacenia, były przyczyną fantowania i niszczenia, krok po kroku, gospodarstwa.

Nie było bezpośredniego zagrożenia życia, ale radość z powrotu do domu była zaprawiona dużą dawką goryczy, tym bardziej bolesną, że doznaną od swoich. Skłócenie ludzi i panująca wokoło zła atmosfera powodowała, że zadawaliśmy sobie pytanie: czy to naprawdę było wyzwolenie czy następne, na długie lata, zniewolenie? Wojna się skończyła, ale żeby opisać następne lata cierpienia i upokorzeń całej naszej rodziny w miejscu zamieszkania, w szkołach, w wojsku, w pracy, musiałabym zacząć od początku nową, znacznie dłuższą i obszerniejszą opowieść.

Koniec

Posłowie

Państwo Nowakowie i państwo Klejwenhagen prosili Tatusia na świadka w procesach sądowych. Za pomoc Polakom w przetrwaniu trudnego czasu okupacji zostali zrehabilitowani. Odzyskali polskie obywatelstwo i mogli pozostać na swoich gospodarstwach. Niestety państwo Nowakowie stracili syna Stefana, który powołany został do niemieckiego wojska i zginął w ostatnich dniach wojennej zawieruchy.

Powojenne lata odcisnęły na nas swoje piętno. Pamiętamy, że władza ludowa miała nas wszystkich w „szczególnej opiece”, nie pozwalając dać w szkole dziecku nagrody za dobre wyniki w nauce, a w pracy awansu. W czasie pobytu w wojsku bracia kierowani byli do ciężkiej pracy w kopalni albo na budowie. Żaden z nich nie miał w tym czasie karabinu w rękach.

Koleje życia rozrzuciły nas po Polsce. Spotykamy się w dniu Wszystkich Świętych na cmentarzu w Budzynie, przy grobach Dziadków i Rodziców, wdzięczni za przekazanie wiary, wartości i umiejętności bycia człowiekiem zawsze i w każdych warunkach. Z upływem czasu do odwiedzania grobów dołączyły wnuki i prawnuki.

Dalsze losy bohaterów książki

Tatuś przeżył 83 lata, **Mamusia** – 96 lat, spoczywają na cmentarzu w Budzynie, we wspólnym grobie z Dziadkami i ciocią Teodorą.

Stanisław – przez kilkanaście lat prowadził część gospodarstwa w Brześcińcu, później pracował zawodowo w różnych miejscach. Jako samouk zdobył ogromną wiedzę historyczną. Jest ojcem trojga dzieci: Haliny, Władysława i Leszka. Obecnie przebywa pod troskliwą opieką córki.

Czesława – z wykształcenia pielęgniarka, całe zawodowe życie pracowała, pomagając chorym dzieciom w poznańskim szpitalu i poradni. Ma dwóch synów Macieja i Olafa, którzy dyskretnie czuwają nad swoją mamą.

Mieczysław – pracował jako górnik w Wałbrzychu. Wychował przybranego syna Jerzego. Jako pierwszy z rodzeństwa, zmarł 1 sierpnia 2002 roku. Pochowany został we Wrocławiu.

Maria (autorka) – od dziewiętnastu lat jestem wdową, mieszkam w Strzałkowie. Jestem samodzielną, ale mam duże wsparcie i opiekę ze strony dzieci i wnuków, szczególnie mieszkających w pobliżu córki Doroty i zięcia Walentego.

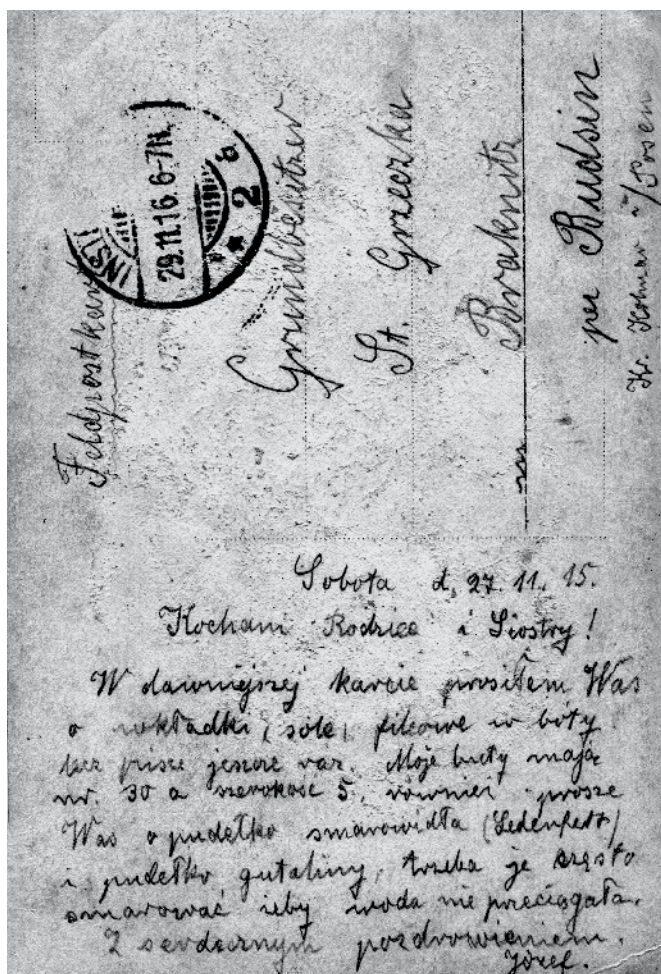
Kazimiera – z wykształcenia magister filologii polskiej, pracowała w Poznaniu z dziećmi, ucząc je rysunku i plastyki. Jej córka – Agata mieszka z rodziną w Niemczech. Zmarła 22 grudnia 2012 roku. Pochowana jest w Budzynie w grobie rodzinnym.

Aleksander – przejął po rodzicach gospodarstwo rolne w Brześcińcu. Oboje z żoną ciężko pracowali, aby je powiększyć i udoskonalić. Mają troje dzieci: Tomasza, Annę i Magdalenę. Obecnie gospodarstwo prowadzi syn, który jest jednym z przodujących rolników w Gminie Budzyń.

Dom naszego dzieciństwa - niemy świadek minionych lat – nadal stoi, choć obecnie nikt w nim nie mieszka.



Józef Grzechka na froncie zachodnim - w drugim rzędzie - pierwszy siedzący po prawej.



Na odwrocie fotografii z poprzedniej strony - pocztówka z frontu.



Siostry Grzechkówny - od lewej: Czesia, Maryjka, Kazia (1951 r.)



Autorka Maria z mężem Witoldem na ślubnym kobiercu (1956 r.)

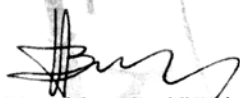
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

DYPLOM UCZESTNICTWA

w konkursie na dziennik, pamiętnik lub wspomnienia z lat II wojny światowej
(1939–1945), zorganizowanym przez Instytut Pamięci Narodowej

dla

Marii Konopki



Przewodniczący Komisji Konkursowej
dr Władysław Bułhak



Prezes Instytutu Pamięci Narodowej
dr Łukasz Kamiński

Warszawa, dn. 15 maja 2014 r.

Spis treści

Nasza rodzina w 1939 roku	4
Wojna	7
W Łaziskach	8
Do domu	9
Jesień	12
1939-1940	16
Czwarte dziecko	17
Obiady	18
Dom na kółkach	19
Stryj Piotr	19
Dom	21
Nożyczki	26
Lato 1940. Wujek Florek	27
Choroba	28
Wysiedlenie	34
W Morzewie	36
Nietuszkowo	37
Szyszki	40
Wigilia	42
Rok 1942	42
Wieczory	44
Ziemniaki	50
Zima nadal trzyma	51
Do pracy	52
Sąsiedzi	55
Szykują się zmiany	56
Druga zima	71
Minęły kolejne Święta Bożego Narodzenia	77
Pojawił się nowy problem	80
Nadeszła wiosna	93
Służba	94
Ostatnie miesiące	113
Nadeszła tęga zima	115
Posłowie	136
Dalsze losy bohaterów książki	137



Maria Konopka, z domu Grzeczka, urodziła się 19 czerwca 1933 roku w Brześcińcu, w gminie Budzyń. Kiedy miała 6 lat wybuchła wojna. Dopiero po jej zakończeniu mogła pójść do szkoły podstawowej. Ukończyła ją w Budzynie w 1948 roku.

Po zamążpójściu w 1956 roku zamieszkała w Sarbce, powiat wągrowiecki. Wspólnie z mężem Witoldem prowadzili 28-hektarowe gospodarstwo rolne. Wychowali cztery córki: Joannę, Elżbietę, Małgorzatę i Dorotę. Doczekali się siedmiorga wnuków. W 2014 r. pojawiła się na świecie pierwsza prawnuczka – Ida. Po śmierci męża przeniosła się do Strzałkowa, koło Słupcy.

W książce autorka opowiada o wojennych losach swojej najbliższej rodziny, dalszych krewnych oraz sąsiadów. Dramatyczne przeżycia: głód, poniewierka, ciężka ponad siły praca, zagrożenie zdrowia, a kilkakrotnie życia, odcisnęło na niej i jej rodzinie bardzo silne piętno.

Przejmująca historia, widziana oczami dziecka, robi duże wrażenie i zapada w pamięć.



**Publikacja sfinansowana
przez Gminę Budzyń**